PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Czasopis

Nr 5(76) MAJ 1997 CENA 1,5 zł

W NUMERZE:

Sami Białorusini nie są w stanie zmienić w radykalny sposób wieloletniego zapóźnienia gospodarczego tzw. ściany wschodniej. Naszym zdaniem potrzebne jest tu kompleksowe rozwiązanie, np. w postaci programu dla wschodniej Białostocczyzny, na wzór rozwiązań uzdrawiających gospodarkę np. na Śląsku. Rzeczywistość jest jednak taka, że sami nie jesteśmy w stanie tego przeforsować. Niezbędna jest pomoc polskich środowisk politycznych, które trzeba do tego skłonić.

Trzech Białorusinów w Sejmie

str. 5

Pastuszkowie podążali do ogniska. Jego ciepło jednoczyło wszystkich w serdecznym, przyjacielskim kręgu. Ogień rozgrzewał zziębnięte dziecięce ciała, suszył bose, przemoczone nogi. Dzielono się wtedy zdobyczami i chłopcy spożywali wieczerzę. Słychać było wyciszony gwar dziecięcych rozmów, piskliwy śmiech i od czasu do czasu rżenie pasących się w pobliżu kasztanów, dereszy, łysych, gniadoszy, siwków...

Na nocnym wypasie

str.21

MONASTER W WIROWIE



str. 16

Czasopis

Pismo Informacyjno-Kulturalne
Wschodniej Białostocczyzny
Ukazuje się co miesiąc

Wydawca
Stowarzyszenie Dziennikarzy
Białoruskich

Adres redakcji
15-001 Białystok, ul. Suraska 1,
skr. poczt. 262
tel. 42-11-05

Redaktor naczelny
Jerzy Chmielewski

Zespół redakcyjny
Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk,
Jerzy Kalina (sekretarz redakcji),
Dorota Sulżyk, Jerzy Sulżyk

Stali współpracownicy
Piotr Bajko, Doroteusz Fionik,
Helena Głogowska, Mikołaj Hajduk,
Sokrat Janowicz, Michał Kondratiuk,
Mirosława Łuksza, Irena Matus,
Michał Mincewicz, Sławomir
Nazaruk, Jerzy Osiennik,
Aleksander Sołowianowicz,
Dorota Wysocka

Kompozycja typograficzna i skład
Jerzy Chmielewski

Druk
Orthdruk, 15-399 Białystok,
ul. Składowa 9, tel. 42-25-17

Prenumerata
Odpowiednio do liczby jednorazowo zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 2,50 zł na rachunek: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich PBK I/O Białystok 370406-6262-2700-1-74.
Nr indeksu 355035
ISSN 1230-1876

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, zmian tytułów i redagowania nadesłanych tekstów.

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

Pismo dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rzeczypospolitej Polskiej.

Numer zamknięto 2 maja 1997 r.

Spektakl na oczach milionów

Często zastanawiam się, dlaczego świat postrzega Białoruś jednostronnie, głównie przez pryzmat wydarzeń politycznych. I nie po raz pierwszy dochodzę do oczywistego w zasadzie wniosku, że jest to tylko obraz ukształtowany przez środki przekazu. Kraj ten bowiem pozostaje dziś nie tyle w izolacji dyplomatycznej, co został odgrodzony od ludzkości. I mimo że ruch na granicach z Białorusią jest teraz ogromny jak nigdy dotąd, to kontakty te niewiele mają wspólnego z poznawaniem kraju i życia jego mieszkańców. Dominuje handel, przemyt i ruch służbowy. Prawie nikt nie przyjeżdża do Białorusi w celach turystycznych, chociaż naprawdę jest tam wiele do zwiedzania.

W tej sytuacji jedynym źródłem informacji pozostaje prasa, radio i telewizja. A te, wiadomo, preferują to, co ekstremalne — protesty społeczne, dramaty i ludzkie nieszczęścia. Nie bez znaczenia jest także strach przed jeżdżeniem do kraju nad Niemnem, panujący także wśród dziennikarzy. Podczas dyskusji w naszej redakcji prezes Radia Białystok przyznał, że boi się wysyłać swoich redaktorów za wschodnią granicę, gdyż „zaraz uznano by ich za szpiegów".

Ja takiego strachu nie mam, staram się być w Białorusi co najmniej dwa razy do roku. Na bieżąco czytam dostarczane stamtąd gazety, od czasu do czasu słucham białoruskiego radia i oglądam Telewizję Białoruską. Dlatego mam prawo sądzić, że mój obraz Białorusi jest bliższy rzeczywistości niż ten, który wyłania się z polskich i zagranicznych mediów (chociaż w „Czasopisie" nie zawsze to widać — polityka jednak przytłacza). Do niedawna uważałem też, że taka właśnie a nie inna opinia w świecie w najmniejszym stopniu jest zasługą samych Białorusinów.

I oto kilka tygodni temu obejrzałem relację z Mińska, z konferencji prasowej prezydenta Aleksandra Łukaszenki. Wieczorem w studiu Telewizji Białoruskiej zasiedli przedstawiciele władzy, opozycji, dziennikarze z gazet państwowych i prywatnych oraz — co istotne — korespondenci zagraniczni. Konferencja w niczym nie przypominała cywilizowanych metod informowania społeczeństwa. Została przygotowana w, trochę już zapomnianym, komunistycznym stylu. Trwała ponad trzy godziny, a mogłaby choćby do rana, gdyż przeznaczonego dla niej czasu nie ograniczano. Równocześnie przerwano nadawanie programów z innych stacji, w tym ORT — najpopularniejszego kanału z Moskwy, na którym rozpoczęła się akurat premierowa emisja najnowszego filmu Antonioniego. W zamian widzowie mogli obejrzeć półgodzinne wystąpienie prezydenta, który oznajmił, że kryzys został już zahamowany i idzie ku lepszemu, bo wzrosło pogłowie cieląt („ale na większą produkcję mleka trzeba jeszcze poczekać, bo — jak wiadomo — krowa rośnie trzy lata"). Podobna retoryka charakteryzowała większość pytań i odpowiedzi. Żenująco wypadła próba wypowiedzi prezydenta po białorusku, co wymógł Jury Chadyka z Białoruskiego Frontu Narodowego. Łukaszenka po „kali łaska" od razu przeszedł do właściwej sobie „trasianki". W studiu nikt na to nie zwrócił większej uwagi. Co więcej, prowadzący zachowywali się nadgorliwie i służalczo. Nie odczuwało się powagi dyskusji, prezydent z większością zebranych był na ty.

W moim odczuciu trzygodzinny spektakl z Aleksandrem Łukaszenką w roli głównej okazał się kompromitacją białoruskiej władzy, a taki sposób informowania opinii publicznej, w tym międzynarodowej, na pewno nie przyczyni się do polepszenia obrazu Białorusi w świecie. W kraju to widowisko nawet się podobało. Tego wieczoru wszędzie opustoszały ulice — niczym kiedyś w Polsce, gdy narodowa reprezentacja rozgrywała mecz na mistrzostwach świata w piłce nożnej. I wygląda na to, że ten spektakl jeszcze się nie skończył. Bo, jak oświadczył Łukaszenka (i z tym zgadza się wielu obserwatorów międzynarodowych), obecną władzę w republice popiera 7 na 9 milionów dorosłych obywateli. A jak jest komu grać...

Jerzy Chmielewski

UWAGA!

Można jeszcze zapisywać dzieci na rok szkolny 1997/98 do białorusko-polskich oddziałów Przedszkola Samorządowego Nr 14 przy Al. Piłsudskiego 20/4 w Białymstoku.

Trwa również nabór do pierwszej klasy Szkoły Podstawowej Nr 4 przy ul. Częstochowskiej 6 w Białymstoku, gdzie od września br. będzie prowadzona nauka języka białoruskiego.

Szczegółowe informacje i zapisy pod nr. tel.: 42-19-05, 44-40-98 i 42-11-05.

OPINIE

■ *Dlaczego Białoruś? Po pierwsze, jest ona naszym najbliższym sąsiadem, po drugie chcemy pokazać, że mimo kolejnych posunięć prezydenta A. Ł. białoruscy twórcy zachowują swoją twórczą suwerenność; piszą i myślą po białorusku, po trzecie wreszcie, naszym zdaniem, jest to literatura niezwykle interesująca. Białoruscy młodzi twórcy sprawili, że absurdem jest myślenie o ich twórczości jako o rustykalno-kombatanckim skansenie. Pisarze weszli do miasta i reagują na wszelkie wyzwania współczesności.*
„Kartki", nr 1, 1997 r.

■ *Za państwo, jego suwerenność i niepodległość, za wolność, ludzie przelewają własną krew. My mamy oddać to za darmo. I z kim się łączymy? Z Rosją, znajdującą się w głębokim kryzysie, gdzie miesiącami nie są wypłacane pensje, gdzie rządzi mafia, gdzie federacja znajduje się na granicy rozpadu. Uważam, że nowe porozumienie nic nie przyniesie — pozostanie na papierze. W ramach Wspólnoty Niepodległych Państw podpisano już wiele porozumień. Cieszę się, że są tacy rosyjscy politycy, którzy rozumieją, jakie zagrożenia niesie projektowane zjednoczenie dla nas, a także dla nich samych.*
Stanisław Bogdankiewicz, szef białoruskiej Zjednoczonej Partii Obywatelskiej, deputowany do rozwiązanej przez prezydenta Aleksandra Łukaszenkę Rady Najwyższej, były prezes białoruskiego banku centralnego, „Rzeczpospolita", 3 kwietnia 1997 r.

■ *— Wielu wpływowych ludzi stawia znak równości między polskością a katolicyzmem.*
— To jest błędny pogląd, mający swój rodowód jeszcze w czasach rozbiorów, kiedy Kościół katolicki integrował cały naród. Tak samo nieprawdziwy jak identyfikowanie ewangelików z niemieckością a prawosławnych z pochodzeniem ukraińskim lub rosyjskim. Nasze wyznanie przynieśli Cyryl i Metody. Nabożeństwa po słowiańsku odbywały się w Polsce aż do śmierci Bolesława Krzywoustego. Jestem Polakiem, urodziłem się koło Białegostoku. Moi przodkowie chodzili z Jagiełłą pod Grunwald i Napoleonem pod Moskwę.
Metropolita Warszawski i Całej Polski **Bazyli** w rozmowie z dziennikarzem tygodnika „Angora", 13 kwietnia 1997 r.

■ *Сьвяткуючы ўваскрасеньне Госпада нашага Ісуса Хрыста, мы жывём таксама ў пярэдадні усяцэлага ўваскрасеньня нашага Беларускага Народу. Бо так як Ісус Хрыстос прайшоў праз зьдзек і быў бяз віны засуджаны ўладамі гэтага сьвету на сьмерць праз укрыжаваньне, гэтак і наш народ уладамі гэтага сьвету зьняволены. Дзеля гэтага ня трэба кідацца ў роспач, але наадварот яшчэ мацней трэба трымаць свае шэрэгі й рашуча ісьці да свае мэты, каб у нашай краіне, Сьвятой Беларусі, уладарылі ня здраднікі, а тыя, хто любіць Беларусь.*
З вялікоднага паслання **Мікалая**, архіяпіскапа Беларускай аўтакефальнай праваслаўнай Царквы ў Канадзе, „Беларус", сакавік-красавік 1997 г.

■ *Калі Рэспубліка Беларусь уваходзіць сёння ў унію з Расеяй — гэта давядзе да яшчэ большага зніжэння прэстыжу і рангу беларускай мовы ў Беларусі. Масавы ўдзел у нашай алімпіядзе* (беларускай мовы для вучняў сярэдніх школ — **рэд.**) *— гэта свайго роду пратэст супраць таго, што адбываецца цяпер у Беларусі.*
Праф. **Аляксандр Баршчэўскі**, загадчык Кафедры беларускай філалогіі Варшаўскага універсітэта ў тэлевізійнай перадачы „Самі пра сябе", 20 красавіка 1997 г.

■ *Za niezrozumiałą uważamy wypowiedź dyrektora* (Telewizji Białystok — **red.**), *„że nie został poinformowany" o przygotowaniu przez Warszawski Ośrodek Telewizyjny audycji świątecznej na pierwszy dzień prawosławnej Wielkiej Nocy. Zapowiedź tego programu w piątek i sobotę zamieściły trzy białostockie gazety codzienne. (...) Pan Worotyński z rozbrajającą szczerością oświadcza, iż „przygotowywał własną ramówkę", w której po prostu nie uwzględnił prawosławnych świąt Wielkiej Nocy. Świąt, które w naszym regionie są obchodzone przez setki tysięcy potencjalnych telewidzów. W tym miejscu należy dodać, iż w audycji poświęconej tematyce prawosławnej w Radiu Białystok prowadzący ją ksiądz Grzegorz Misijuk z żalem przyznał, że regionalna antena publiczna nie dostrzegła prawosławnej Wielkiej Nocy.*
Fragment listu polemizującego z wypowiedziami dyrektora ds. programowych TV Białystok Wojciecha Worotyńskiego. List wystosowali: prof. dr hab. **Jan Czykwin**, dr **Helena Głogowska**, **Sokrat Janowicz**, **Piotr Kruk**, dr **Oleg Łatyszonek**, **Jan Maksymiuk**, dr hab. **Antoni Mironowicz**, **Wiktor Szwed**, „Kurier Poranny", 2 maja 1997 r.

Na okładce: Ruiny dawnej cerkwi św. Serafina w Wirowie
Fot. J. Charkiewicz

Bycie sobą*



Fot. J. Osiennik

Bycie sobą jest problemem moralnym. Dla dosadności tego stwierdzenia można powiedzieć, że z braku moralności nikt nie umarł śmiercią głodową. Ludzkie świnie mają się całkiem dobrze. I nader spokojnie, jeśli nie trafiają na dokuczliwca dopytującego się u nich o sens ich życia, nieczystych starań i zabiegów.

Człowiek, który kieruje się wyłącznie „filozofią żołądka", czyli instynktami niewiele odbiegającymi od zwierzęcych, nie wdaje się w tego rodzaju pogwarki. Macha ręką na natręta i mknie w siną dal. Dopóki jest zdrowy i cały, nie zaprząta sobie głowy myśleniem innym aniżeli rachunkowym. Takiego nachodzi opamiętanie jedynie w sytuacji większej lub mniejszej katastrofy życiowej, kiedy nagle zaczyna rozumieć, że nie tylko chleb jest ważny.

Podobni ludzie stanowią większość społeczeństwa, czego na co dzień specjalnie się nie wyczuwa. Ale wystarczy znaleźć się — chociażby na krótko — w którymś ze szpitali albo, nie daj Boże, w więzieniu, aby doświadczyć uczucia odkrycia innego świata, jakby nie z tej ziemi. Sale chorych — prócz nielicznych wyjątków — zaludnione są ludzkimi wrakami, przeważnie w starszym wieku. Przy czym kobiety zachowują się zdecydowanie inaczej, niżli mężczyźni; babski gatunek ratuje nie gasnący instynkt macierzyństwa, duchowo wzbogacany religianctwem. Natomiast stan psychiczny złożonych chorobą ojców i dziadków da się określić w zasadzie pojęciem przewlekłego szoku. Przywaleni ogromem żalu do najbliższych sobie osób, do dzieci głównie, nierzadko do przyjaciół z sąsiedztwa, przeżywają oni coś na kształt przyśpieszonego samokształcenia, intensywnego kursu uczuć i zasad moralnych.

Najdobitniej postrzega się to na przykładzie schorowanych chłopów, tłumnie zalegających prowincjonalne szpitale zwłaszcza. Czują się oni wytrąceni z życia, wywiezieni przez rodzinę na swoistą zwałkę. Na dogorywanie w obczyźnie miejskiej cywilizacji — niepojętych w obsłudze sedesów i pisuarów, wanien i pryszniców, dyscypliny zażywania leków pod zimnym okiem kategorycznych pielęgniarek, wmuszania posiłków bez względu na apetyt czy smak wodnistej potrawy oraz przewagi zakazów nad tym, co wolno pacjentowi. Jest się wciśniętym w obroty porządkujących trybów, więc dobrze komuś robi przypominanie sobie niegdysiejszej służby wojskowej; wtedy lżej na duszy gospodarzom, których słowo do niedawna było niepisanym prawem domowym. Co za upadek i degradacja!?

Gorzkie żale tego ostatniego pokolenia tradycyjnych chłopów układają się w schemat: wypruwało się żyły na gospodarce — spadkobierczy syn wszystko puścił w ruinę — wnuk spieprzył do miasta i bywa jeno najazdami, aby chapnąć co pod rękę mu podleci, jako że siedzi na „kuroniówce"... Najlepiej się rolnikom powodziło za Gierka, teraz zaś nawet za „chabora" nie udaje się sprzedać cokolwiek, a jeśli czasami, to za bezcen.

Koło się zamyka. Na dobrą sprawę trudno mieć pretensje do zapijaczonego syna, także do wnuka-lekkoducha. Takie czasy nastały, że mozół tylu lat przestał się liczyć. Jasne to, ale i niejasne. Patriarcha rodu leży na łożu boleści i okropnie się boi domysłu, ża cały jego żywot okazał się jakimś nieporozumieniem, strasznym żartem natury i Pana Boga, i jakby jeszcze mało było tego, spłodził syna na ten potępieńczy wiek, a syn — wnuka; i żona wnuka już z brzuchem chodzi... Jak to wyrozumieć? Nie może być, że rozum i tu również niczego nie tłumaczy, nie przekłada na ludzki sens i cel!

Po co się żyło? — odwieczne pytanie u mądrych i u głupich. Z tą sokratesowską różnicą, że myślący człowiek o wiele więcej nie wie, tępak natomiast nieporównanie mniej.

Ciężko doświadczony przez życie chłop był sobą czy dopiero takim się staje pod koniec swych dni? Właściwie o co ja pytam? O to, czy zachowywał się godnie, nie udawał kogoś kim nie był, nie kręcił i nie dopuszczał się szalbierstw... Słowem: dziesięcioro przykazań, niemal w całości od góry do dołu. Nie mam wszak żadnego prawa dopytywać się u kogoś o takie rzeczy, stawiać siebie w pozycji sędziego. Dokładnie te same pytania mogą wrócić bumerangiem do mnie samego i nie na wszystkie znajdę jednoznaczną odpowiedź. Jak prawdomówność nie zawsze bywa moralna, nie bezwarunkowo godna pochwały, o czym dobrze wiedzą — na przykład — lekarze walczący o przedłużenie chwil życia nieuleczalnie choremu.

Więc co znaczy bycie sobą? Na pewno rozrachunek samego ze sobą, czyli to, co nazywamy sumieniem. Sumienie jednakże nie jest u człowieka cechą wrodzoną, lecz w różnym stopniu nabytą w procesie wychowawczym, skutkiem którego jednostka zaczyna odróżniać się od świata zwierząt. Przyroda, natura, nie zna sumienia, jak nie ma go kot pożerający mysz lub maciora zjadająca swe małe prosięta (w rezultacie jakichś niedoborów w jej organizmie). Sumienie jest wytworem kultury, właśnie kultury, a nie nauki, która bez kulturalnej otoczki łatwo przeistacza się w narzędzie zbrodni. Pojęcie kultury definiuje się jako nieskończoną aktywność uszlachetniającą człowieka. Bez niej daje się żyć, istnieć, tylko zachodzi pytanie: jakie to będzie życie, jakie istnienie. Żyje kot, żyje pies... Którzy niczego nie czynią ponad konieczność bytową.

Mówiąc o sumieniu, mówimy o wrażliwości. Nie od dziś wiadomo, że najsilniej kształtuje wrażliwość w jednostce jej obcowanie ze sztuką, literaturą; dlatego nie ma na świecie takich szkół, w których nie zapoznawanoby młodzież z wierszem, powieścią, kolorem, muzyką. To nie przypadek, że najpierw było Słowo, i że najpierwszą książką w historii ludzkości jest Biblia, Pismo Święte. Konający gdzieś w sokólskim szpitalu chłop od Suchowoli niewiele miał okazji do kontaktu ze sztukami pięknymi, lecz niewątpliwie chodził do kościoła i słuchał Słowa Bożego, prawdopodobnie nigdy nie dowiedziawszy się, że oto obcuje ze źródłem kultury świata... Coś w nim z tego musiało — mimo prymitywizmu jego egzystencji — pozostać w głębi duszy, ale dominowała go wprost biologiczna walka o byt (prawie w czystej postaci wg Darwina). I to jego dziejowe nieszczęście, że brzuch okazał się być ważniejszy od serca. Czy był sobą? Zapewne tak, bo z tym byciem sobą jest trochę jak z odpowiedzialnością karną: niska świadomość czynu minimalizuje skalę wyroku.

Sokrat Janowicz

** Jest to tytuł cyklu felietonów S. Janowicza, które, począwszy od tego numeru, będą ukazywać się co miesiąc.*

Trzech Białorusinów w Sejmie

Eugeniusz Wappa po raz drugi został wybrany przewodniczącym Związku Białoruskiego w Rzeczpospolitej Polskiej. Związek Białoruski, będący federacją sześciu organizacji działających w środowisku mniejszości białoruskiej (Białoruskiego Towarzystwa Historycznego, Stowarzyszenia Dziennikarzy Białoruskich, Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża", Rady Programowej Tygodnika „Niwa", Białoruskiego Zrzeszenia Studentów, Białoruskiego Towarzystwa Kulturalnego „Chatka" w Gdańsku) pełni rolę koordynatora poczynań tych organizacji, zabiera głos w najważniejszych sprawach dotyczących życia społeczno-kulturalnego Białorusinów w Polsce. Spotkanie w redakcji „Czasopisu" było okazją do dyskusji na temat roli tej organizacji w zmieniającej się rzeczywistości społeczno-politycznej w naszym kraju.

Jerzy Kalina: Czy pomysł sfederowania organizacji białoruskich, działających w naszym środowisku, sprawdził się w praktyce?

Eugeniusz Wappa: Uważam, że był to bardzo dobry pomysł. Każda organizacja sfederowana w Związku zachowała swoją niezależność w kwestiach organizacyjnych, finansowych oraz merytorycznych. Natomiast Związek jest swego rodzaju miniparlamentem, na forum którego dyskutuje się o najważniejszych kwestiach dotyczących ich działalności. Jego zadaniem jest reprezentowanie interesów członków w sprawach istotnych dla całego środowiska wobec instytucji, władz państwowych i samorządowych oraz innych organizacji i stowarzyszeń. Tak było, gdy przebywała na Białostocczyźnie sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Przypomnę, że wówczas jednym głosem postulowaliśmy powołanie przy Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku naukowej jednostki dydaktyczno-badawczej pod nazwą Instytut Kultury Białoruskiej. Uzasadnialiśmy też konieczność zwrotu Cerkwi prawosławnej budynków monasterskich w Supraślu. Tak się szczęśliwie złożyło, że oba postulaty zostały załatwione pozytywnie.

Podobnie postąpiliśmy, gdy ważyły się losy budynku przy ulicy Warszawskiej 11 w Białymstoku. Nieskromnie wypada w tym miejscu powiedzieć, że to również stanowisko naszego Związku zaważyło na tym, że władze miejskie odstąpiły od zamiaru eksmisji Zarządu Głównego Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego z tego obiektu. To również z naszej inicjatywy został powołany pełnomocnik wojewody białostockiego do spraw mniejszości narodowych. Ubolewam jedynie, że działalność osoby piastującej to stanowisko była zupełnie rozbieżna z oczekiwaniami Białorusinów, mieszkańców naszego regionu. Mimo to w dalszym ciągu uważam, że taki urząd w województwie białostockim jest potrzebny. Problem polega jedynie na tym, by tymi, tak przecież delikatnymi, sprawami, zajmowała się osoba kompetentna i akceptowana możliwie przez jak największą liczbę stowarzyszeń mniejszościowych. Jeśli wojewoda białostocki zdecyduje się na powtórzenie eksperymentu z pełnomocnikiem, deklaruję pomoc w znalezieniu odpowiedniej osoby na to stanowisko.

Jeśli chodzi o strukturę wewnętrzną Związku Białoruskiego, problemem jest statutowy zapis, który przewiduje jedynie członkostwo podmiotów prawnych. Coraz częściej słyszę opinie, i to z różnych środowisk, by członkami naszej organizacji mogły być również osoby fizyczne, nie związane z zawodowymi organizacjami już należącymi do Związku. Dlatego w najbliższym czasie będziemy zabiegać o taką zmianę statutu, by było to możliwe.

Argumentów za takim rozwiązaniem dostarczyła nam akcja zbierania podpisów w sprawie zwiększenia czasu emisji audycji białoruskojęzycznych i o tematyce prawosławnej w Radiu Białystok oraz w białostockiej telewizji. Okazało się bowiem, że jest bardzo wielu ludzi, którzy chcą pomagać w realizacji określonych przedsięwzięć. W niespełna trzy tygodnie zebraliśmy ponad dziesięć tysięcy podpisów. Ta akcja przyniosła również wymierne efekty. Prezes Radia Białystok, pan Jerzy Muszyński, zadeklarował zwiększenie czasu nadawania tych audycji. Gorzej jest niestety w przypadku Telewizji Białystok. Tam nasze postulaty napotykają na twardy opór. Dyrekcja telewizji odrzuciła naszą koncepcję powołania osobnej redakcji białoruskiej oraz przydziału takiej ilości czasu antenowego, który — chociażby z racji liczby Białorusinów zamieszkałych w regionie — powinien być na to przeznaczony. Jeszcze gorzej jest z programem o tematyce prawosławnej, którego nie ma w ogóle. Szczególnie było to widoczne w czasie prawosławnych świąt Wielkiej Nocy. Podczas gdy tematyka świąteczna gościła na antenach ogólnopolskich bardzo często, szczególnie drugiego dnia świąt, „nasza" telewizja to wydarzenie zbagatelizowała. Mam nadzieję, że ktoś w końcu zreflektuje się, na jakim terenie przyszło mu wydawać publiczne pieniądze, w tym pochodzące z abonamentu płaconego przez Białorusinów i wyznawców prawosławia.

Korzystając z okazji dziękuję tym wszystkim, którzy pomagali nam przy zbieraniu podpisów. Szczególnie serdecznie dziękuję Jego Ekscelencji Arcybiskupowi Sawie, prawosławnym duchownym oraz dyrekcji liceów białoruskich w Bielsku Podlaskim i Hajnówce oraz Szkoły Podstawowej Nr 3 w Bielsku Podalskim, którzy bardzo nam w tym pomogli. Ze swej strony deklaruję, że uczynię wszystko by postulaty, pod którymi podpisało się ponad dziesięć tysięcy ludzi, nie były długo ignorowane.

Jerzy Chmielewski: Jak wygląda sprawa realizacji uchwał Zjazdu Związku Białoruskiego?

E.W.: Zjazd odbył się zaledwie trzy miesiące temu. Mimo to prawie wszystkie wnioski przyjęte przez delegatów już są realizowane.

Związek Białoruski wystosował pismo do dyrekcji Telewizji Białystok, z prośbą o powołanie redakcji białoruskiej i zwiększenie czasu emisji audycji białoruskojęzycznych. Od razu jednak muszę dodać, że w przypadku tej instytucji dobra publicznego czas oczekiwania na odpowiedź może się ciągnąć bardzo długo. Ale jesteśmy cierpliwi.

Po okresie wielkanocnym zamierzam poprosić o audiencję Jego Ekscelencję Arcybiskupa Sawę. Przede wszystkim jest to związane z postulatem Związku, by w szkołach, gdzie jest nauczany język białoruski, również katecheza prawosławna była prowadzona w tym języku.

Zaawansowane są również pilotowane przez naszą organizację sprawy oświatowe. Niedawno powołano organ doradczy przy Ministerstwie Edukacji Narodowej, który będzie się zajmował problematyką mniejszościową. Związek Białoruski reprezentuje tam Eugeniusz Saczko, dyrektor liceum białoruskiego w

Hajnówce oraz Bazyli Leszczyński, dyrektor Szkoły Podstawowej Nr 3 w Bielsku Podlaskim, największej tego typu placówki w Polsce, w której jest nauczany język białoruski. Sam jestem członkiem polsko-białoruskiej komisji ds. podręczników i programów nauczania. Od 14 do 18 kwietnia uczestniczyłem w pracach tego gremium w Grodnie. Ustaliliśmy tam, że jesienią tego roku komisja drobiazgowo zajmie się analizą systemu nauczania języka białoruskiego w Polsce.

Pozostałe uchwały Zjazdu będą systematycznie realizowane w najbliższym czasie.

J.K.: Jak, twoim zdaniem, powinny ułożyć się stosunki polsko-białoruskie w naszym regionie. Co Związek Białoruski robi, lub co zamierza zrobić, by Białorusini i ich kultura była postrzegana jako pełnowartościowy element życia codziennego tej części Polski?

E.W.: Nie jest to pytanie, które zaliczyłbym do łatwych. Przede wszystkim dlatego, że odkładanie się balastu wzajemnych uprzedzeń, kłamliwych stereotypów, nie było udziałem naszego pokolenia. To wszystko nawarstwiało się latami, po trosze dlatego, że tak chciała władza, ale również z tej przyczyny, że zabrakło wśród elit polskich i białoruskich chęci bliższego poznania się. A przecież tylko w ten sposób możemy się zrozumieć i tworzyć coś wspólnie. Muszę też w tym miejscu przytoczyć tezę być może brutalną, jednak mimo wszystko prawdziwą, do znudzenia powtarzaną przez Sokrata Jnowicza, że los i sposób bycia mniejszości w decydującym stopniu zależy od stosunku do niej większości.

Związek Białoruski dostrzega wagę tych problemów. Staramy się, w miarę naszych możliwości, przełamywać sztuczne i nikomu niepotrzebne bariery, przede wszystkim psychologiczne. Myślę, że dobrym przykładem jest organizowanie ze środowiskiem bardzo dobrego białostockiego pisma literackiego „Kartki" wspólnych, polsko-białoruskich, spotkań literackich. Owocem pierwszych warsztatów „Biazmieżża" był specjalny mumer pisma „Kartki", w dużej części poświęcony współczesnej literaturze białoruskiej. Zaczynamy od kontaktów z młodą inteligencją, gdyż ci ludzie nie są obciążeni „kompleksem Wschodu", lub jak kto woli, „kompleksem wielkich polskich kresów wschodnich". Gorzej jest z pokoleniem średnim i starszym, i to obu narodowości. Najgorzej ta sytuacja wygląda w Białymstoku. Mimo to przyszłość można widzieć w optymistycznych barwach.

Jerzy Sulżyk: Związek Białoruski, szczególnie w polskich środkach masowego przekazu, funkcjonuje jako najbardziej reprezentatywny nurt tej części społeczności białoruskiej, która w jakimś stopniu identyfikuje się z przemianami demokratycznymi, które dokonały się w Polsce w ostatnim czasie. Jak w praktyce wygląda poparcie idei i postulatów Związku przez społeczność białoruską?

E.W.: Nie jesteśmy politrukami, by pisać odezwy czy manifesty ideowe, a następnie przekonanywać do tego ludzi. Osobiście za bardzo cenię i szanuję mieszkańców naszego regionu, by chwytać się takich metod, które w ostatecznym rozrachunku do niczego nie prowadzą.

Naszym głównym celem jest prowadzenie mozolnej i nie zawsze efektownej oraz niestety również — efektywnej, pracy organicznej. Przede wszystkim w dziedzinie kultury, oświaty, propagowania wzorców przykładnego współżycia mniejszości, którą jesteśmy w skali województwa (ale niekoniecznie w okolicach Bielska Podlaskiego czy Hajnówki) z dominującymi Polakami. Związek Białoruski gorąco popiera budowanie w naszym kraju podstaw społeczeństwa obywatelskiego, gdzie o wartości i szacunku do człowieka nie decyduje nic ponad jego wiedzę, umiejętności, przydatność dla społeczności w której żyje oraz kultura osobista. Tylko taki model ułożenia stosunków społecznych gwarantuje równy start wszystkim ludziom, bez różnicy narodowości czy wyznania.

Te wszystkie zadania realizują organizacje sfederowane w Związku. Dziennikarze wydają tygodnik „Niwa", miesięcznik „Czasopis", historycy — naukowy półrocznik na bardzo wysokim poziomie „Białoruskie Zeszyty Historyczne", oraz profesjonalne monografie historyczne, dotyczące dziejów naszego regionu. Dziennikarze wywodzący się z naszego środowiska współpracują przy redagowaniu audycji białoruskojęzycznych w Radiu Białystok oraz białostockiej telewizji. Literaci z powodzeniem parają się piórem. Sztandarową imprezą młodzieży studenckiej jest największy w regionie festiwal muzyki rockowej „Basowiszcza". Dzięki staraniom Towarzystwa „Chatka" w Gdańsku mamy bieżący kontakt z Białorusinami zamieszkałymi na Wybrzeżu.

Związek Białoruski realizuje projekty, przede wszystkim w tych dziedzinach, które dotychczas leżały u nas odłogiem. Mam tu na myśli np. promowanie idei małych ojczyzn, a więc tych środowisk, w których Białorusini zamieszkiwali od wieków, nie bacząc na zmiany granic czy aktualną koniunkturę polityczną, narzucaną przez wielkich tego świata. Naszym największym skarbem jest spuścizna kulturowa naszych przodków, zachowana w postaci kultury materialnej, zwyczajów, obrzędów. To wszystko zniknie, gdy sami nie postaramy się zachować tego następnym pokoleniom. Temu celowi służy projekt, który opracowałem wspólnie z Doroteuszem Fionikiem z Bielska Podlaskiego, „Bielsk — serce pogranicza". W konkursie Fundacji Kultury na ponad sto projektów uzyskał on miejsce w pierwszej dziesiątce.

J.Ch.: Związek Białoruski działa w oderwaniu od gmin, w których zamieszkują Białorusini. Świadczą o tym chociażby głosy niezadowolonych działaczy samorządowych na ostatnim zjeździe Związku. Dlaczego tak się dzieje?

E.W.: Żeby całościowo odpowiedzieć na to pytanie, muszę przypomnieć, co w tej kwestii nasze środowisko, wówczas zgrupowane wokół Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego, proponowało kilka lat temu. Naszym zamiarem było stworzenie związku gmin białoruskich, luźnej federacji, której celem byłaby przede wszystkim współpraca gospodarcza. Nie wyszło. Przede wszystkim dlatego, że do realizacji bardzo słusznych zresztą założeń zabrakło w zasadzie tylko jednej rzeczy — zachęty dla naszych samorządowców do zrzeszenia się w postaci realnych możliwości ściągnięcia kapitału inwestycyjnego. Podobnie jest obecnie. Bez środków finansowych trudno porywać się z motyką na słońce.

Sądzę, iż przynajmniej w części wyciągnęliśmy wnioski z tamtych bolesnych doświadczeń. Uważamy bowiem, iż sami Białorusini nie są w stanie zmienić w radykalny sposób wieloletniego zapóźnienia gospodarczego tzw. ściany wschodniej. Naszym zdaniem potrzebne jest tu kompleksowe rozwiązanie, np. w postaci programu dla wschodniej Białostocczyzny, na wzór rozwiązań uzdrawiających gospodarkę np. na Śląsku. Rzeczywistość jest jednak taka, że sami nie jesteśmy w stanie tego przeforsować. Niezbędna jest pomoc polskich środowisk politycznych, które trzeba do tego skłonić. W dalszej perspektywie naszym

celem będzie pomaganie samorządom w wynajdywaniu korzystnych ofert inwestycyjnych oraz propagowanie programów zapobiegania bezrobociu. Szczególnie zaś tym, w których Białorusini mają coś do powiedzenia. Tym bardziej, że praktyka ostatnich lat pokazała, że tam gdzie jest bogaty samorząd, w którym działają Białorusini, tam również możemy się spodziewać rozwoju kultury białoruskiej. Tym zagadnieniom będzie poświęcona konferencja, którą wspólnie z władzami samorządowymi i Unią Pracy zorganizujemy w Bielsku Podlaskim na przełomie lipca i sierpnia. Zaprosimy na nią przedstawicieli wszystkich samorządów ze ściany wschodniej.

J.S.: Możemy teraz w naturalny sposób przejść do polityki. Trudno tego uniknąć, jesteśmy w roku wyborczym. W jaki sposób Związek zamierza włączyć się w kampanię wyborczą?

E.W.: Każde wybory w naszym środowisku powodowały odżywanie dyskusji na temat pozycji, jaką powinny zająć organizacje i poszczególni liderzy. Praktyka sprzed czterech lat pokazała, że sami nie jesteśmy w stanie wybrać parlamentarzysty, który skutecznie mógłby bronić naszych interesów. Nie chcę się rozwodzić na temat przyczyny, poprzestanę jedynie na konstatacji, że tak jest.

Związek Białoruski uważa, że priorytetem powinno być wyłonienie posła wywodzącego się z naszego środowiska. Pragmatyka podpowiada, że jeżeli nie jesteśmy zdolni osiągnąć tego sami, to należy posiłkować się elaktoratem tych polskich partii politycznych, które nam to zapewniają.

Od kilku miesięcy napływały do nas propozycje od kilku takich ugrupowań. Zjazd Związku zdecydował, że białoruscy kandydaci znajdą się na listach Unii Pracy.

J.Ch.: Dlaczego Białorusini i wyznawcy prawosławia powinni głosować na kandydatów Unii Pracy? Czy są jakieś specjalne powody, czy też to po prostu przypadek, bo akurat ta partia wysunęła najbardziej kuszącą propozycję?

E.W.: To ugrupowanie plasuje się w centrum polskiego życia politycznego. Uważam, że złym rozwiązaniem w przypadku każdej mniejszości jest wiązanie się z partiami politycznymi zajmującymi skrajne, a co gorsza, ekstremalne pozycje. Takie rozwiązanie podpowiada nam nasza praktyka, jak również przykłady z innych krajów europejskich.

Również dlatego, że program socjalny tej partii jest do przyjęcia dla naszego społeczeństwa, ludzi w większości niezamożnych, osób starszych, rencistów i emerytów. Myślę, że postulaty bezpłatnej opieki lekarskiej, bezpłatnej szkoły, silnie rozwiniętej funkcji opiekuńczej państwa trafią tutaj na podatny grunt. Tym bardziej, że ujemne skutki przekształceń ustrojowych szczególnie boleśnie dotknęły mieszkańców wschodniej części województwa białostockiego.

Ta partia już teraz popiera inicjatywy naszej organizacji, jak również ostatnie starania Cerkwi prawosławnej o nowelizację „Ustawy o stosunku Państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego”. Sprawa, wydawałoby się oczywista, bo polegająca na zrównaniu w prawach Cerkwi prawosławnej i Kościoła rzymskokatolickiego, napotyka jednak na bardzo silny opór większości posłów Sejmu obecnej kadencji, w tym również wywodzących się z Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

J.K.: Co konkretnie oferuje Unia kandydatom Związku Białoruskiego?

E.W.: Nasz kandydat, a Zarząd Związku Białoruskiego zdecydował że będę nim ja, ma zagwarantowane drugie lub trzecie miejsce na liście w okręgu białostockim oraz miejsce w pierwszej dziesiątce kandydatów na liście krajowej Unii Pracy. W praktyce oznacza to, że w przypadku, gdy ta partia otrzyma co najmniej siedem procent poparcia w skali kraju, to Białorusini będą mieli swego człowieka w Sejmie. Większość sondaży badania opinii publicznej utwierdza nas w przekonaniu, że tak w istocie będzie.







Eugeniusz Wappa, lat 31, nauczyciel historii w Liceum Ogólnokształcącym z nauczaniem języka białoruskiego w Hajnówce. Organizator białoruskiego ruchu młodzieżowego w latach 80., uczestnik obrad Okrągłego Stołu ze strony opozycji (pracował w podkomisji zajmującej się problematyką mniejszości narodowych), przewodniczący Białoruskiego Zrzeszenia Studentów, publicysta. Autor artykułów naukowych, recenzji, członek kolegium redakcyjnego „Białoruskich Zeszytów Historycznych”, współautor książki pt. „Białoruski ruch studencki w Polsce 1981-1992”. Mieszka w Bielsku Podlaskim.

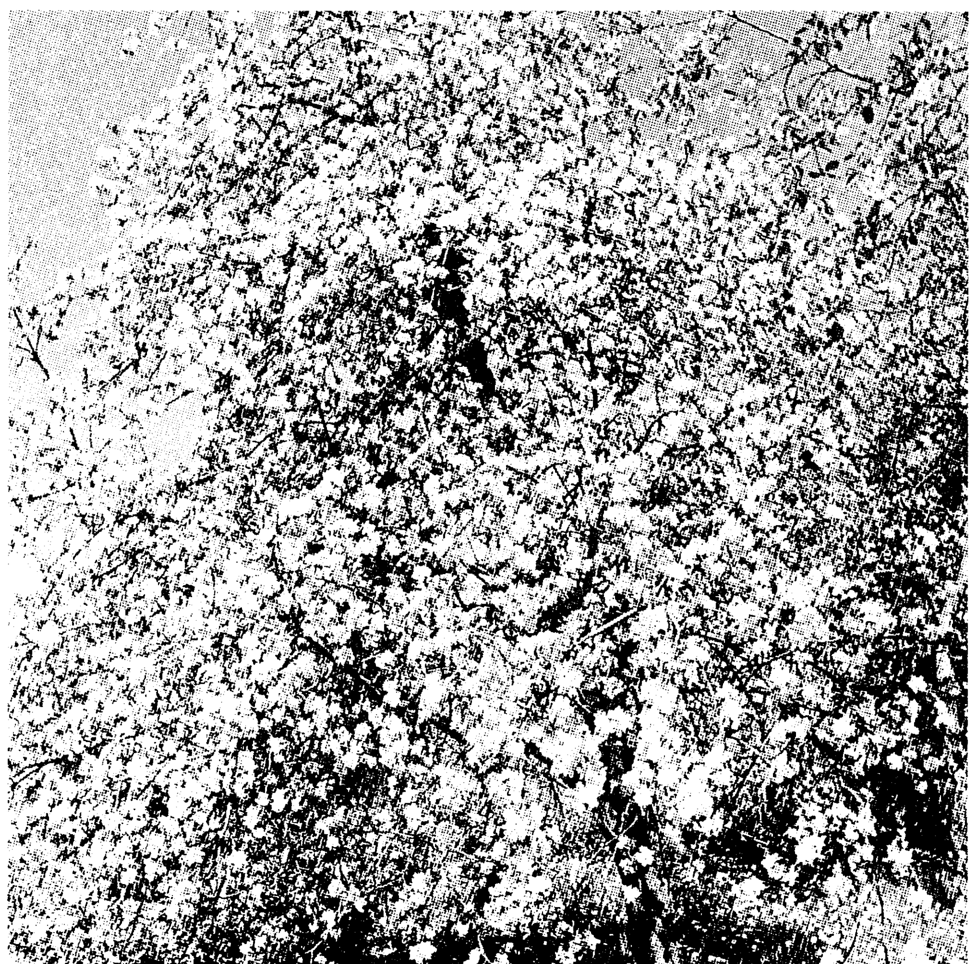
J.Ch.: Zanosi się na to, że do Sejmu będą kandydować również inne osoby ze środowisk białoruskich z różnych list wyborczych. Czy nie będzie to oznaczać podziału głosów naszego elektoratu i — co za tym idzie — zmniejszenia szans na mandat każdego z nich?

E.W.: Trudno mi spekulować, gdyż dziś nic konkretnego na ten temat nie wiadomo. Według stanu na koniec kwietnia, tylko Związek Białoruski upublicznił swoje zamiary wyborcze. Osobiście uważam, że jeżeli jest tylko taka możliwość, również inni działacze z naszego środowiska powinni próbować swoich szans w wyborach. Teoretycznie może być nawet tak, że w Sejmie spotka się trzech Białorusinów.

oprac. (jk), fot. J. Kalina

Rozmowa przebiegała w języku białoruskim. Opublikowanie jej po polsku wynika z chęci dotarcia do jak najszerszego grona czytelników.

ТРАВЕНЬ



Фота У. Завадскага

■ ...гадоў таму

900 — Пад 1097 годам у летапісе „Аповесць мінулых часоў" упершыню ўспамінаецца горад Пінск (Пинеск, Пиньск). Узнік ён на левым беразе ракі Піны, ад назвы якой займеў сваё імя.

620 — У маі 1377 г. памёр выдатны палкаводзец і палітык — вялікі князь Аляксандр Альгерд (нар. каля 1296 г.), у манастве Алексій. Сярэдні сын вялікага князя Гедыміна, зяць і спадчыннік князя віцебскага Яраслава, супольна з братам Кейстутам ён валадарыў Старабеларускай дзяржавай (Вялікім княствам Літоўскім), некалькі разоў перамагаў крыжакоў, татараў, войскі Маскоўскага княства. За яго панавання Старабеларуская дзяржава павялічылася ўдвая і стала самай магутнай і вялікай імперыяй у тагачаснай Еўропе, якая распасціралася ад Балтыйскага да Чорнага мора, ад Халма (сённяшняга Хэлма каля Любліна) і да Падмаскоўя.

195 — 6.05.1802 г. нар. каля Кобрына Станіслаў Горскі (пам. 3.05.1964 г.), прыродазнавец, медык, педагог. Выкладаў ва універсітэце, а затым у медыка-хірургічнай акадэміі ў Вільні. Як адзін з першых апісаў раслінасць Белавежскай пушчы (1826 г.), яго асабліва цікавіла, чым кормяцца зубры. Забяспечваў гербарыямі флоры Беларусі вучоных розных краін тагачаснай Еўропы.

155 — 23.05.1842 г. у Сувалках нар. Марыя Канапніцкая (пам. 8.10.1910 г.), польская пісьменніца і грамадская дзеячка. Часта наведвала Беларусь. Пасля пабыўкі на Гарадзеншчыне напісала паэту тэафідю Ленартовічу: *Тое, што там народзіцца калісьці ў народным асяроддзі, не будзе Польшчай або Літвой, але Беларуссю.* Пад уздзеяннем убачанага на беларускіх землях паўстала шэраг яе твораў. Сваёй творчасцю моцна паўплывала на Я. Купалу, Я. Коласа і інш. беларускіх пісьменнікаў.

120 — 3.05.1877 г. нар. Антон Грыневіч (арыштаваны ў 1933 г., загінуў у ГУЛагу 8.12.1937 г.), фальклярыст, кампазітар, педагог, выдавец. Удзельнік суполкі „Загляне сонца і ў наша аконца", затым заснавальнік свайго выдавецтва Выдаў „беларускія песні з нотамі" т. 1 і 2 (1910-12), з 1917 па 1920 г.г. працаваў у Мінску, потым да 1925 г. дзейнічаў у Вільні, дзе быў часова зняволены ў Лукішскай турме, выдаў першы беларускі падручнік па музыцы „Навука спеву" (1923) і „Беларускі дзіцячы спеўнік" (1925), „Народны спеўнік" і „Школьны спеўнік" (абодва ў 1920 г.). Збіраў фальклор на Палессі і Падзвінні, працаваў у Інстытуце беларускай культуры, перад арштам жыў і працаваў на Віцебшчыне.

115 — 15.05.1882 г. нар. Уладзіслаў Галубок (расстраляны НКУСаўцамі ў Мінску 28.09.1937 г.), адзін з заснавальнікаў сучаснага беларускага нацыянальнага тэатра, драматург, акцёр, рэжысёр. У друку выступіў у 1906 г. у „Нашай ніве", пісаў вершы, апавяданні, сцэнічныя творы, напісаў каля 40 камедый. З 1917 г. выступаў як акцёр і рэжысёр, працягваў традыцыі Ігната Буйніцкага — стварыў свой вандроўны тэатр. Узначальваў першы нацыянальны беларускі тэатр у Мінску. Самыя вядомыя яго п'есы: „Апошняе спатканне" (1917), „Пісаравы імяніны" (1917), „Бязвінаня кроў" (1918), „Ганка" (1920), „Ветрагоны" (1927), „Белая зброя" (1933).

98 — 22.05.1899 г., у вёсцы Малыя Азяране каля Крынкаў, нар. Мікалай Чарнецкі (забіты польскім падполлем у студзені 1944 г.), доктар філасофіі Карлава універсітэта ў Празе, дзеяч заходнебеларускага нацыянальна-вызваленчага руху ў міжваеннай Польшчы, рэдактар часопіса „Золак", настаўнік беларускай мовы.

95 — 20.05.1902 г. нар. Язэп Пушча (сапр. Іосіф Плашчынскі, пам. 14.09.1964 г.), паэт, настаўнік, адзін з заснавальнікаў літаратурнага аб'яднання „Узвышша". Яшчэ як студэнта, у 1930 г., арыштавалі яго НКУСаўцы і выслалі ў Сібір на вечнае пасяленне, але падчас вайны, у 1941 г., мабілізавалі і паслалі на найцяжэйшы адрэзак фронту. Прайшоў ён ад Падмаскоўя да Берліна, але пасля мусіў пад канвоем вярнуцца ў Сібір, на родную Беларусь змог прыбыць толькі ў 1958 г. Друкаваўся з 1922 г., выдаў некалькі зборнікаў паэзіі, эсэ.

85 — 15.05.1912 г. нар. Анатоль Іверс (сапр. Іван Місько), паэт, грамадскі дзеяч. За рэвалюцыйную дзейнасць выключаны па чарзе з трох гімназіяў, у гадах 1939-41 супрацоўнічаў з беластоцкім беларускім творчым асяроддзем, партызан, пасля вайны — грамадскі дзеяч. Друкавацца пачаў у 1934 г., выдаў некалькі зборнікаў вершаў і паэм, успаміны.

75 — 15.05.1922 г. нар. Пятро Васілеўскі, пісьменнік і кінарэжысёр, старэйшы працаўнік „Беларусьфільма". Друкуецца з 1942 г., аповесці: „Новы

дзень" (1956), „Першапутак" (1958); п'есы: „Чалавек вярнуўся" (1959), „Любоў, Надзея, Вера" (1960); фільмы: „Палеская легенда" (1957), „Рагаты бастыён" (1965) і інш.

70 — 2.05.1927 г. нар. Уладзімір Кудрэвіч, ад 1949 г. на сцэне Купалаўскага тэатра. Самыя выдатныя ролі: Якім Сарока („Паўлінка" Я. Купалы), Цесакоў, Сырадоеў, Скаромны, Ваенны міністр („Лявоніха на арбіце", „Трыбунал", „Таблетку пад язык", „Святая прастата" — усе А. Макаёнка), выступае таксама ў беларускіх фільмах.

— 18.05.1927 г. нар. Леанід Шакінка, графік, у выстаўках удзельнічае з 1962 г., сярод яго работ: „Маці. 1941 год" (1964), „Коміны Хатыні" (1967), „Мікалай Капернік" (1973), „Зімовая казка" (1983).

65 — 29.05.1932 г. нар. Юрый Грыгор'еў, архітэктар, праектуе з 1956 г., аўтар праектаў гмахаў некалькіх навукова-даследчых інстытутаў Акадэміі навук Беларусі, Дому літаратара, жыллёвых мікрараёнаў Мінска.

60 — 10.05.1937 г. нар. Сымон Блатун (пам. 3.04.1970 г.), пісьменнік, у друку выступіў у 1956 г., аўтар некалькіх зборнікаў паэзіі, гумару і мініяцюр, шмат перакладаў з розных літаратур.

— 28.05.1937 . нар. Генрых Ціхановіч, мастак, у выстаўках удзельнічае з 1963 г., найбольш вядомыя карціны: „Хто з мячом да нас прыйдзе..." (1967), „Аблічча вайны" (1985), „Прысяга партызанаў" (1980), „Нарачанскія сосны" (1972), „Над сіняй бухтой. Багдановіч" (1985), „Францыск Скарына" (1986).

55 — 1.05.1942 г. нар. Міхаіл Басалыга, графік, вядучы мастак-ілюстратар кніг беларускіх аўтараў. У выстаўках удзельнічае з 1963 г. Аздобіў і ўцелясніў у вобразах змест каля сотні кніг, пачынаючы з твораў Ф. Скарыны і да сучасных пісьменнікаў, уключна, між іншым, з кніжкай М. Гайдука „Трызна", стварыў серыі гравюр і афортаў па творчасці Я. Купалы.

— 10.05.1942 г. нар. Сяргей Панізнік, пісьменнік, вядучы рэдактар выдавецтва „Юнацтва". У друку выступае з 1959 г., аўтар шэрагу зборнікаў паэзіі, кніжак для дзяцей, дакументальнай аповесці „Браніслава" (1985), кнігі публіцыстыкі „Пасля вогненных вёсак" (1980), цікавіцца беларускім літаратурным рухам на Беласточчыне. **(мг)**

■ Калісь пісалі

Шчыты, Бельск. пав., Гродз. губ. 15 мая ў нас маняцца адкрыць хаўрусны банчок.

Паслалі прашэньне губэрнатару пазволіць залажыць супольную краму.

Закупілі ўжо вялікі гмах, дзе маняцца быць: бязплатная бібліятэка і чытальня імя Павленкава, супольная крама, склад насеньня і гаспадарчых прыладаў.

У скорасьці маем надзею, калі толькі пазволяць, зрабіць і сельско-гаспадарное таварыства.

Васіль

„Наша ніва", 28 мая 1909 г.

Малавядомы герой

Наша мінуўшчына скрывае многа „белых плямаў". Мы не ведаем сваёй гісторыі. Здаецца нам, што наш, беларускі, сялянскі радавод мала цікавы, што не маем сваіх выдатных постацей родам з Беласточчыны. Да ліку такіх належыць доктар філасофіі **Мікалай Чарнецкі,** родам з вёскі Малыя Азяране, што каля Крынак.

Нарадзіўся ён 22 мая 1899 года ў гэтай невялічкай вёсцы, у праваслаўнай сялянскай сям'і Антона і Анастасіі Чарнецкіх. Ягоны бацька з братам Андрэем (які быў народным суддзёй) атрымалі ад сваіх бацькоў каля 18 гектараў зямлі (адзін участак і чацвяртушку) і маленькую хатку. Бацька Мікалая пасля вайсковай службы стаў манапольшчыкам (прадаўцом гарэлкі) у недалёкай Гальшцы. Там Мікалай закончыў двухкласную школу. Многія факты з ягонай біяграфіі яшчэ невядомыя. Цяжка ўстанавіць, ці яго бацькі жылі перад I сусветнай вайной у Гальшцы, ці ў Малых Азяранах. Ведаем, што ў 1914 г. Мікалай Чарнецкі пачаў вучыцца ў Настаўніцкай семінарыі ў Свіслачы, а ў 1915 г. сям'я Чарнецкіх апынулася ў бежанстве (праваслаўныя жыхары Малых Азяран падаліся ў бежанства, але хутка вярнуліся дамоў, калі дагналі іх нямецкія войскі недзе каля Навагрудка). У бежанстве Чарнецкі далей працягваў вучобу ў горадзе Мёдынь (Калужская губ.), дзе, праўдападобна, апынулася большасць настаўнікаў свіслацкай семінарыі. 14 сакавіка 1918 г. закончыў навуку ў семінарыі. Вярнуўся ён у родную вёску, а бацькі засталіся ў бежанстве. У 1921 г. выехаў у Чэхаславакію з мэтай вучыцца ў Пражскім універсітэце. На пачатку лютага 1924 г. стаў студэнтам філасофскага факультэта Карлава універсітэта ў Празе.

Цяжка сцвердзіць, калі Мікалай Чарнецкі стаў нацыянальна свядомым беларусам. З захаванай карэспандэнцыі з 1923 г. Тамаша Грыба (вядомага беларускага нацыянальнага дзеяча і тадышняга студэнта таго ж факультэта) з Уладзімірам Жылкам, беларускім паэтам (студэнтам там жа) вядома, што Чарнецкі быў іхнім добрым сябрам — заўсёды ўспамінаюць яго ў сваіх лістах. У час навукі ў Празе ён актыўна дзейнічаў у беларускім студэнцкім руху: Аб'яднанні беларускага паступовага студэнцтва (разам з Ігнатам Дварчанінам, Тамашом Грыбам, Уладзімірам Жылкам) і Аб'яднанні беларускіх студэнцкіх арганізацый. Па палітычным светапоглядзе ён быў перакананым сацыялістам-рэвалюцыянерам (эсэраўцам). 7 ліпеня 1929 г. закончыў навуку ў Празе са званнем доктара філасофскіх навук. У тым жа годзе, вярнуўшыся ў Малыя Азяране, прабаваў разгарнуць нацыянальную дзейнасць; між іншым пад яго кіраўніцтвам вясковыя дзеці падрыхтавалі пастаноўку „Паўлінкі" паводле Янкі Купалы. Быў не раз выкліканы на пастарунак паліцыі і ў павятовыя ўстановы. У такіх умовах пакінуў ён вёску, і ў 1930/1931 школьным годзе быў настаўнікам беларускай мовы ў беларускай гімназіі ў Клецку (Нясвіжскі павет). Ад другой паловы 1931 па 1939 год жыў у Вільні.

Разам з Яўгенам Аніськам, які пасля вайны быў настаўнікам беларускай мовы ў Аўгустове каля Бельска, Чарнецкі пачаў выдаваць эсэраўскі часопіс „Золак". Прымаў удзел у беларускім нацыянальным руху, быў

сябрам Беларускага навуковага таварыства. Калі гаварыць пра яго асабістае жыццё — ніколі не ажаніўся.

У 1939 г. вярнуўся на родную старонку. Стаў дырэктарам беларускай сярэдняй школы ў Крынках (цяпер у частцы яе будынка ў знаходзіцца шпіталь), а пасля — раённым школьным інспектарам. У той час наведаў сваю сям'ю (якая праўдападобна жыла ў Мінску); маці ўжо памерла ў цяжкіх умовах савецкага жыцця, бацька яшчэ жыў, браты атрымалі вышэйшую адукацыю. Пасля выбуху савецка-нямецкай вайны Мікалай Чарнецкі вярнуўся ў Малыя Азяране, аднак быў вымушаны хутка выехаць адтуль — паявіліся даносы на яго, накіраваныя да новых уладаў. Тады выехаў ён да матчыных братоў, што мелі невялікі фальварак у Галувках каля Юхнаўца. Уступіў у Беларускі камітэт у Беластоку, быў праўдападобна сакратаром Беларускага нацыянальна-дэмакратычнага аб'яднання ў Беластоку ў 1943 г. альбо Беларускага камітэта. У сваіх поглядах быў бескампрамісны, не давяраў нямецкім акупантам. Не давяралі яму таксама палякі. У канцы 1943 г. быў забраны палякамі з дому дзядзькоў і дваюраднай сястры ў Галувках. Ягоны лёс выявіўся на прадвесні 1944 г., калі знявечанае цела Мікалая Чарнецкага было выпадкова знойдзена ў час адлігі. Урачыстыя паховіны пакойнага др. Мікалая Чарнецкага адбыліся ў красавіку-маі 1944 г. на беластоцкіх праваслаўных могілках на Выгодзе. Магіла гэтага малавядомага героя беларускага народа знаходзіцца непадалёк царквы, направа ад уваходу на могілкі.

Вячаслаў Харужы

P.S. Кожнага, хто ведаў др. М. Чарнецкага, прашу кантактавацца з рэдакцыяй (тэл. 42-11-05). Шчыра дзякую Анатолю Чарнецкаму і ўсім, хто дапамог скласці гэтую біяграфію. **(вх)**

Dziesięć lat ciężkiej pracy

Bez echa minęła 10. rocznica I Zjazdu Białoruskich Studentów, który odbył się 27-29 marca 1987 r. w Bielsku Podlaskim. Był on kontynuacją studenckiego ruchu z 1981 r., kiedy to po raz pierwszy podjęto próbę utworzenia organizacji, wyrażającej autentyczne potrzeby młodego pokolenia Białorusinów. Nazwano ją Białoruskie Zrzeszenie Studentów w Polsce. Tamtą inicjatywę załamało wprowadzenie 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego. Jednak idea niezależności i wolności wśród Białorusinów w Polsce pozostała. Powróciła właśnie dziesięć lat temu w postaci uchwały Zjazdu o utworzeniu Białoruskiego Zrzeszenia Studentów. Było to wydarzenie historyczne. Studenci przełamali monopol Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego na białoruskość w Polsce i w końcu 1988 r. zarejestrowali pierwszą w PRL demokratyczną organizację białoruską.

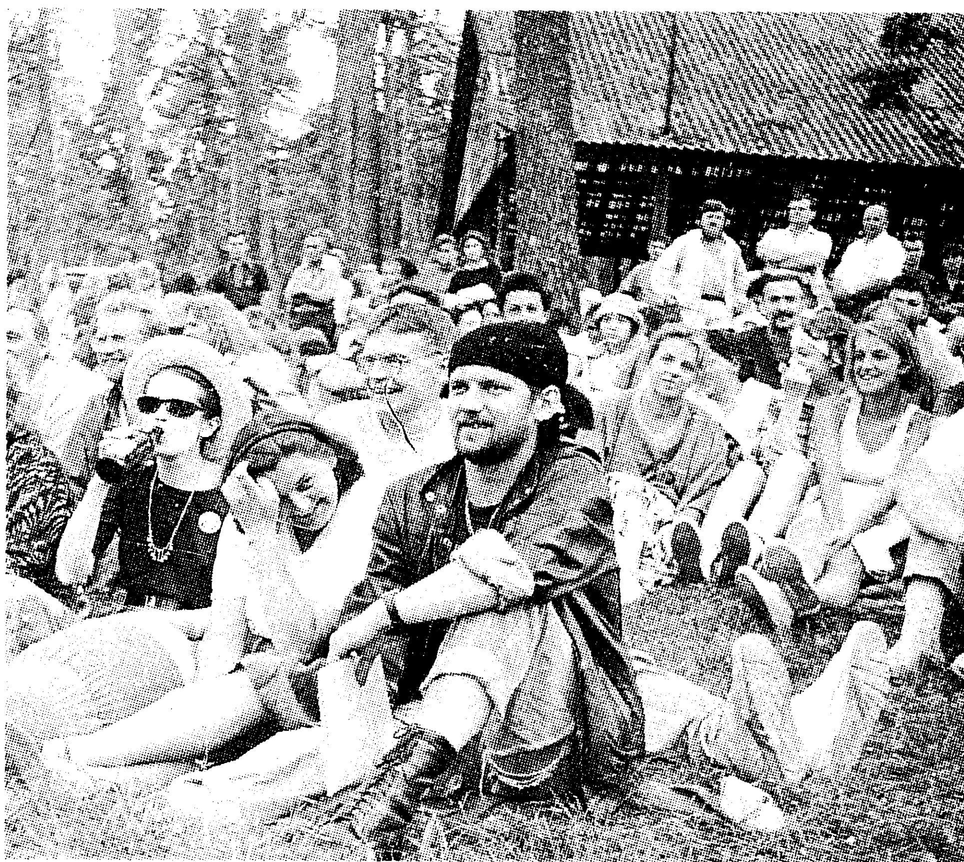
Piesze rajdy po Białostocczyźnie, otrzęsiny, wydawanie biuletynu „Sustreczy", a także Białoruski Uniwersytet Ludowy hartowały młodych Białorusinów do dalszej, ciężkiej pracy dla ogólnego dobra białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce. Kiedy po przełomie 1989 r. nastąpiła demokratyzacja struktury państwowej i nastały warunki do pełniejszej, wielokierunkowej aktywności obywateli, uczestnicy I Zjazdu Białoruskich Studentów wnieśli bardzo wiele nowego w życie swojej społeczności. Wytężona praca wielu dziesiątków młodych ludzi zaczęła wydawać owoce. Od 1990 r. BZS rokrocznie organizuje w Gródku Festiwal Muzyki Młodej Białorusi „Basowiszcza", a Związek Młodzieży Białoruskiej od kilku lat w Bielsku Podlaskim festiwal „Jesień Bardów". Bardzo prężnie działa Białoruskie Towarzystwo Historyczne, wydając wiele publikacji oraz organizując konferencje naukowe. Pokolenie lat osiemdziesiątych tworzy większość redakcji tygodnika „Niwa". Także nasz miesięcznik jest efektem starań przede wszystkim ludzi związanych z ideami, które przyświecały tamtemu wydarzeniu.

Pokoleniu I Zjazdu Białoruskich Studentów wspólna jest przede wszystkim jedna, bezcenna wartość: bycie Białorusinami na co dzień, a nie tylko od święta, tylko w rodzinie czy na imprezie rozrywkowej lub też kiedy władze zażyczą mieć „reprezentanta mniejszości białoruskiej".

W polskich warunkach publiczne określenie swojej przynależności narodowej wciąż wymaga odwagi, której nie wszystkim starcza, a przede wszystkim zaś świadomości własnej tożsamości. Pokolenie lat osiemdziesiątych wyrwało się z kręgu komunistycznej propagandy, a często zwykłego zakłamania i poprzez samokształcenie posiadło dostatecznie dużą wiedzę o własnym narodzie. Była to dosyć długa i żmudna droga, gdyż w Polsce, a także w Białorusi, do niedawna nie istniały instytucje, które rzetelnie badałyby dzieje i kulturę narodu białoruskiego, przekazując wyniki tej pracy szerokim rzeszom obywateli. Efektem działań na tym polu są m.in. wydawane od 1994 r. „Białoruskie Zeszyty Historyczne" — naukowy periodyk równający do najlepszych tego typu w Polsce i Białorusi.

Niezauważenie okrągłej rocznicy I Zjazdu Studentów Białoruskich świadczyć może też o tym, że nasze młode pokolenie — już przynajmniej trzydziestolatkowie — nie żyje kombatanctwem, postawą bardzo modną i powszechną w wielu środowiskach w Polsce. Idea ciężkiej pracy w swoim zawodzie, ale z korzyścią dla całej społeczności białoruskiej, nie była obca studentom przed dziesięciu laty. Ludzie ci dają temu wyraz obecnie, zajmując się bardzo różnymi profesjami, a ponadto pełniąc funkcje w organizacjach białoruskich. I warto podkreślić, że to ich dzieci chodzą do pierwszego w dziejach Białegostoku białorusko-polskiego przedszkola.

Sławomir Iwaniuk



„Basowiszcza" w 1991 r.

Fot. P. Sawicki

■ REGION

Białystok

● 15 kwietnia w Sądzie Wojewódzkim zostało zarejestrowane Stowarzyszenie Budowy Pomnika Mieszkańców Białostocczyzny Zabitych, Zamordowanych, Zaginionych i Zamęczonych w latach 1939-56. Inicjatorzy — przedstawiciele organizacji białoruskich i prawosławnych — chcą w ten sposób upamiętnić ofiary Września '39, okupacji hitlerowskiej, zbrodni polskiego podziemia zbrojnego i represji stalinowskich. *Szerzej napiszemy o tym w następnym numerze.*

● 20 kwietnia w budynku Wydziału Humanistycznego Filii Uniwersytetu Warszawskiego odbyło się seminarium Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża" z udziałem Uładzimira Konana, literaturoznawcy i filozofa z Mińska.

● Rektor Filii Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Adam Jamróz, zapowiedział powołanie przy tej uczelni od 1 września br. Katedry Kultury Białoruskiej. Jej kierownikiem ma być prof. Elżbieta Smułkowa, b. ambasador RP w Mińsku.

● Ukazał się słownik biograficzny „Kto jest kim na Białostocczyźnie". Wśród 349 alfabetycznie ułożonych biogramów znalazły się też sylwetki osób ze środowiska białoruskiego — literatów zrzeszonych w „Białowieży", historyków i publicystów. Słownik wydała agencja reklamowa „KOM" z Białegostoku.

Bielsk Podlaski

● 2 kwietnia zakończyła się III Olimpiada Języka Białoruskiego, zorganizowana przez Katedrę Filologii Białoruskiej Uniwersytetu Warszawskiego. W eliminacjach szkolnych i okręgowych uczestniczyło 154 uczniów liceów białoruskich w Bielsku i Hajnówce. 17 finalistów spotkało się w bielskim Domu Nauczyciela, gdzie pisali prace na temat wiersza Uładzimira Niaklajewa i odpowiadali na pytania komisji, która oceniała praktyczną znajomość języka białoruskiego i oryginalność wypowiedzi. Dwa pierwsze miejsca przyznano Marcie Aleksiejuk i Tomaszowi Sacharczukowi z Bielska, trzy drugie — Iwonie Kononiuk i Katarzynie Owsiejczuk z Bielska oraz Justynie Laszkiewicz z Hajnówki, zaś dwa trzecie — Angelice Romańczuk i Tomaszowi Sajewiczowi z Hajnówki.

● 4 kwietnia uroczyście przekazano do użytku stację kontroli pojazdów przy Zespole Szkół Zawodowych Nr 1. Jest to najnowocześniejsza tego typu placówka w regionie, wyposażona w zachodnie urządzenia diagnostyczne. Stacja została wyświęcona przez duchownych prawosławnych i katolickich, którzy przekazali szkole krzyż, biblię i ikonę.



W marszu milczenia w Gródku wzięło udział ponad siedemset osób. Transparentów z białoruskimi napisami nikt tam nie widział od lat międzywojennych **Fot. J. Osiennik**

Gródek

● 17 kwietnia samorząd Szkoły Podstawowej w Gródku zorganizował marsz milczenia przeciwko przemocy i rosnącej przestępczości w gminie i w kraju. Ulicami miasteczka przeszło ponad 700 osób, uczniów, nauczycieli i mieszkańców. Nieśli oni transparenty z napisami „Stop przemocy!", „Chcemy bezpiecznie żyć", „Nie chcemy przemocy w dzień i w nocy" oraz w języku białoruskim „Palicyjanty! Nadyjszou czas dziejniczać". Demonstranci przeszli pod budynek Urzędu Gminy, gdzie na ręce wójta i komendanta posterunku policji przekazali apel o zapobieganie przestępczości. Gródecki marsz milczenia odbył się kilka tygodni po tym, jak w pobliskiej Stacji Waliły czterej nieletni pobili na śmierć 47-letniego mężczyznę. Wśród mieszkańców gminy panuje przekonanie, że działa tam nieformalna grupa młodzieży, która siłą zwalcza alkoholików. Jej ofiarą, podobno, padło już kilka osób.

Hajnówka

● Po kilkuletniej przerwie w mieście ponownie uruchomiono kino. Mieści się ono w Muzeum Kultury Białoruskiej. Na projektorze produkcji radzieckiej, prezencie z Grodna, wyświetlane są wyłącznie filmy... amerykańskie.

■ KRAJ

Gdańsk

● Na początku kwietnia na Wybrzeżu przebywała rządowa delegacja z Mińska. Białoruscy goście zapoznali się ze sposobami prywatyzacji i restrukturyzacji polskich przedsiębiorstw państwowych. Został podpisany list intencyjny o współpracy pomiędzy Pomorską Izbą Przemysłowo-Handlową i Białorusko-Polską Izbą Gospodarczą. Wspólnymi z Białorusią działaniami gospodarczymi są zainteresowane m.in. „Centrostal" z Gdańska i Gdyńskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych. Białorusini chcą natomiast współpracować z polskimi portami.

● 6 kwietnia zakończył się Międzynarodowy Konkurs Muzyki Kameralnej im. Johannesa Brahmsa. Jury pod przewodnictwem prof. Romana Sucheckiego przyznało trzy równorzędne wyróżnienia, w tym białoruskiemu trio „Akademia" w składzie: Wadim Iwanow (klarnet), Denis Szklarow (wiolonczela) i Żanna Warławnowa (fortepian).

Lublin

● Udostępniono zwiedzającym bizantyńsko-ruskie freski w kaplicy Świętej Trójcy na zamku. Ich fundatorem był król Władysław Jagiełło. Prace konserwatorskie, trzecie już w tym stuleciu, trwały dwadzieścia lat. Lubelskie freski uchodzą za jeden z najcenniejszych zabytków sztuki średniowiecznej w Europie.

Podkowa Leśna k. Warszawy

● 12 kwietnia odbyła się akcja artystyczna „Rycerze Wielkiego Księstwa", z udziałem plastyków, pisarzy i muzyków

z Republiki Białoruś. W imprezie, mającej na celu popularyzację młodych twórców, uczestniczyli m.in.: Jurij Jakawienka, Uładzimir Pancialiejeu i — znany z historycznych felietonów w „Czasopisie" (w rubryce „Kalendarium") — Witaut Czaropka.

Warszawa

● 25 kwietnia Ambasada Republiki Białoruś i Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód zorganizowały praktyczno-naukową konferencję „Białoruś a Czarnobyl". Odbyła się ona w Domu Przyjaźni w jedenastą rocznicę wybuchu w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Uczestnicy konferencji obejrzeli film dokumentalny poświęcony tej tematyce oraz wysłuchali kilku referatów na temat skutków awarii i chorób popromiennych.

● Wiceminstrowie obrony Polski i Białorusi — Andrzej Karkoszka i Juryj Płatnou — podpisali porozumienie o nienaruszaniu przestrzeni powietrznej stref nadgranicznych swych krajów. Zgodnie z przyjętymi dokumentami obie strony mają wzajemnie się informować o przeprowadzaniu ćwiczeń wojskowych na tym obszarze.

● Do połowy maja można oglądać kolejną wystawę prac Leona Tarasewicza. Tym razem w Centrum Sztuki Współczesnej artysta zamalował ściany i 25 filarów. Te aranżacje wchodziły w skład wspólnej ekspozycji, której autorami, oprócz Tarasewicza, są jeszcze dwaj inni wielcy malarze — Jerzy Nowosielski i Mikołaj Smoczyński. *Szerzej o wystawie, otwartej 4 kwietnia, pisze obok recenzentka „Gazety Wyborczej".*

Z ducha prawosławia

Nowosielski, Smoczyński, Tarasewicz — w Centrum Sztuki Współczesnej

Sztuka pozbawiona swych korzeni metafizycznych i duchowych zawiśnie w próżni i powoli zacznie obumierać — przestrzega Jerzy Nowosielski (ur. w 1923 r.), klasyk współczesnego malarstwa i jego wielki autorytet.

Materialność i duchowość

Słowa te mogłyby być kluczem do wystawy, która w zestawieniu nazwisk w pierwszym odruchu budzi zaskoczenie. Leon Tarasewicz (ur. w 1957) i Mikołaj Smoczyński (ur. w 1955) są twórcami innej generacji i odmiennej estetyki. A jednak nieprzypadkowo spotykają się razem. Łączy ich duchowość Wschodu, szukanie inspiracji u jej źródeł, wychowanie w kręgu religii prawosławnej.

Każdy z nich pozostaje na tej wystawie sobą. Zbliża ich jedynie kulturowa wspólnota i artystyczna etyka. Jest to wystawa nietypowa, przeciwstawiająca się koniunkturalnej modzie. Artyści nie konkurują ze sobą, gdyż inaczej rozumieją sens sztuki. Sztuka dla nich otwiera się w głąb, spaja tradycję ze współczesnością i materialność z duchowością.

Wiedzieć i widzieć

Wystawa zaczyna się od Nowosielskiego. Wśród starannie wybranych obrazów wybija się monumentalne dzieło „Villa dei Misteri" z połowy lat 70., nawiązujące w tytule do starożytnych Pompei zalanych lawą. Kompozycja o zgeometryzowanych podziałach przestrzeni, przecinana portretowymi kadrami, niepokoi architektonicznymi rytmami i tajemniczością. Odnosi się nie tyle do antyku, ile do współczesności.

Przeważają tu jednak abstrakcyjne obrazy, które przy całej umowności — jak ikony — otwierają płaskie płaszczyzny ku innym przestrzeniom. Mieszają się cynobry, błękity i szmaragdowe zielenie. Jak pisze Mieczysław Porębski w katalogu wystawy, te obrazy są po to, żeby „wiedzieć i widzieć".

Mikołaj Smoczyński mówi: „Sztuka w kulturze zachodniej jest użytkowa, obraz pozostaje tylko obiektem do dekoracji wnętrza, gdy w sztuce wschodu spełnia filozoficzno-mistyczną rolę. Jest nie tylko dodatkiem, ale fragmentem życia duchowego".

Pachnący Smoczyński

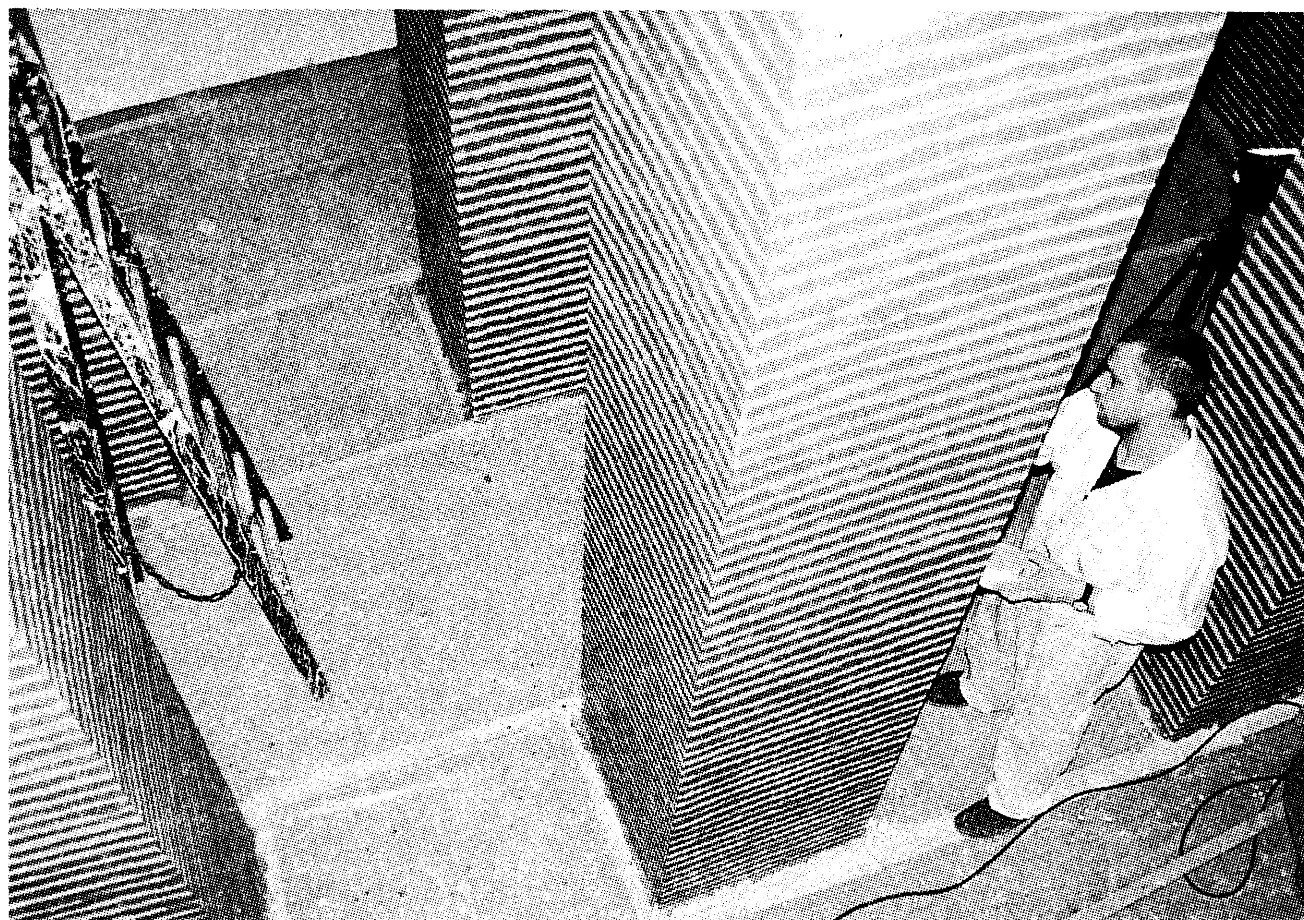
Smoczyński prezentuje dwa obrazy, ale przede wszystkim przyciąga uwagę architektoniczną instalacją z płyt eternitowych. Konstrukcja zaprasza widza do wnętrza i grając na podświadomych skojarzeniach prowokuje refleksję na temat przestrzeni, jej wymiarów użytkowych i sakralnych.

Obrazy na filarach

Leon Tarasewicz prezentuje natomiast monumentalne obrazy i aranżacje malarskie na ścianach i wybudowanych specjalnie na tę wystawę 25 filarach. Te dzieła należą już właściwie do geometrycznej abstrakcji, a przecież podchwytują rytmy natury. Patrząc na te sztuczne konstrukje wibrujące kolorem, przywołujemy wspomnienie słońca ślizgającego się między drzewami. Obrazy Tarasewicza skłaniają do duchowej kontemplacji nad istnieniem i naturą.

Monika Kuc

„Gazeta Wyborcza — Gazeta Stołeczna", 3.04.1997 r.



Leon Tarasewicz podczas pracy nad aranżacjami kolumn w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie
Fot. J. Osiennik

■ REPUBLIKA BIAŁORUŚ

Grodno

● Eksmitowano redakcję niezależnej gazety „Pahonia". Sąd Gospodarczy w Grodnie po procesie w związku z publikowaniem w piśmie tekstów „antypaństwowych" nakazał opuszczenie zajmowanych pomieszczeń. Eksmisji dokonali przedstawiciele władz lokalnych i milicji. Wynajęci pracownicy wynieśli na ulicę meble i sprzęt techniczny. Milicjanci wyprowadzili redaktora naczelnego, Mikołę Markiewicza i jego współpracowników, którzy w ramach protestu nie chcieli opuścić redakcji.

Mińsk

● 2 kwietnia odbyły się dwie demonstracje — przeciwników i zwolenników unii białorusko-rosyjskiej. W pierwszej, zorganizowanej przez opozycję, wzięło udział 3-4 tys. osób. Równocześnie demonstrowało kilkuset zwolenników integracji, a proprezydenckie Białoruska Partia Patriotyczna i Komunistyczna Partia Białorusi pikietowały pod Ambasadą USA, trzymając transparenty z napisami: „CIA — precz krwawe łapy od Białorusi!", „NATO — won od granic Białorusi!"

● Kilka dni po podpisaniu w Moskwie umowy integracyjnej wszystkie oficjalne gazety białoruskie opublikowały treść statutu związku Rosji i Białorusi. Tym samym rozpoczęła się powszechna dyskusja nad tym dokumentem. Jak podała gazeta „Swaboda", ów projekt różni się od wariantu proponowanego Jelcynowi przez Łukaszenkę. Wskutek stanowczych żądań strony rosyjskiej zostały wykreślone te punkty, które przewidywały takie ustanowienie władzy w unii obu państw, które otwierałoby Łukaszence drogę na Kreml.

● 9 kwietnia demonstrowali związkowcy. Manifestacja, zorganizowana przez Stowarzyszenie Wolnych Związków Zawodowych, przebiegała pod hasłem „Tak

Калі звоняць званы

Кожны раз нібы штосьці вядзе ў царкву: ці то неспакой, трывога, просьба, ці ўдзячнасць, радасць. Прыходзіць, ставіць свечку за здароўе ці за спачын, стаіць, слухае службу, потым ідзе дадому. Здаецца, нічога невядомага няма. Сотні, тысячы, мільёны людзей вось так прыходзяць, моляцца за сваю справу, якая адна і тая ж для ўсіх. Здаецца, мы ведаем, як дзейнічае царкоўны механізм. Ці ведаем?.. Царква — гэта не толькі гучны голас бацюшкі і мернае спяванне жанчын, гэта не толькі мноства агеньчыкаў-успамінаў аб жывых і мёртвых, гэта не толькі споведзь і прычасце. Гэта яшчэ і кульгавыя, хворыя, убогія па-за сценамі храма. Мы думаем, што маем уяўленне аб Царкве, але калі больш пільна прыглядзецца, то пераканаешся, што ведаем не ўсё.


Кафедральны Святадухаўскі сабор у Мінску

Фота М. Болтрыка

Падымаюся па ўзгорку да белага храма — Мінскага кафедральнага сабора. Тут і паназіраю.

Прыходзяць моладзь, старыя, але ж найбольш людзі сярэдняга веку. Для сябе адзначаю, што калі яшчэ гады два назад мужчын у царкве амаль не было, цяпер іх значна больш, розных, пачынаючы з хлапцоў у джынсах і канчаючы прадстаўнікамі дзелавога свету. Назіраю, як раздаюць грошы старэнькім бабулькам, якія працягваюць рукі, каму па сто рублёў, каму па тысячы. Да трох бабулек, што сядзяць на прыступках храма, падышла жанчына і чайнай лыжачкай паклала ім на далоні нейкую кашу з пластмасавай шклянкі. Дасталася ім па лыжцы, і бабулі хрысцяцца, жадаюць шчасця, здароўя, каб Бог мілаваў. З асалодаю павольна пераждоўваюць яны кашу і глядзяць дзіцячымі вачыма на прахожых. Людзі падыходзяць, даюць грошы. Потым падцягваюцца яшчэ бабулькі і дзядкі, калекі. Ім прапануюць такія ж, як яны, небаракі, куду лепей стаць. Сярод іх няцяжка заўважыць тых, хто сам просіць, ходзіць следам, і тых, хто моўчкі сядзіць ці стаіць. "Перападае" шустрэйшаму. Заўважыўшы добра апранутага чалавека, яны кідаюцца насустрач. Калі даюць некаму аднаму, падыходзяць і астатнія.

Маю ўвагу прыцягвае бабулька, што стаіць убаку і пераглядае свой маленькі скарб. Даведваюся, што бабульцы 83 гады. Яе пенсіі — 300 тысяч рублёў — хапае толькі заплаціць за жыллё. Нехта ёй параіў: "Чаго ж ты ляжыш ды з голаду паміраеш? Ідзі ў царкву". Вось і прыходзіць яна ў выхадныя да дзвярэй храма, каб добрыя людзі дапамаглі. "А ці добрыя?" — пытаюся ў бабулькі. — "Гм... людзі ўсюды ашукваюць: і ў магазіне, і свае", — з болем у старэчым голасе кажа яна. Суседкі па дому чакаюць, каб хутчэй баба Насця памерла, і хуткую дапамогу бабульцы прыходзіцца выклікаць самой.

Царква — гэта не толькі месца, да якога вядуць духоўныя пошукі, якое дае збавенне ад граху. Гэта яшчэ і той кацёл, які корміць тых, чыё цяперашняе жыццё пад вялікім пытаннем. Гэта, пэўна, адзінае месца, дзе яны — абяздоленыя, хворыя, калекі — маюць шанс атрымаць ад людзей дапамогу.

Наталля Сураева

Голас Радзімы, 2/97

— pracy! Nie — żebractwu!". Demonstrowało ok. 5 tys. osób.

● 15 kwietnia z wizytą oficjalną gościł minister spraw zagranicznych Ukrainy, Hienadź Udawienka. Podczas rozmów z prezydentem Aleksandrem Łukaszenką, premierem Siarhiejem Linhem i swym odpowiednikiem, Iwanem Antanowiczem, omówił sprawy związane z rozszerzeniem NATO i zbliżeniem Białorusi z Rosją. Głównym celem wizyty ukraińskiego gościa było podpisanie umowy o granicy państwowej pomiędzy Ukrainą i Republiką Białoruś.

● 20 kwietnia Armia Nowego Porządku, skrajnie prawicowa organizacja, dokonała zamachu bombowego. Wybuch, który nie spowodował żadnych strat, był ostrzeżeniem wobec władz. Organizacja zapowiedziała dalsze zamachy, gdyby nastąpiły masowe aresztowania i akty przemocy wśród uczestników marszu czarnobylskiego.

● „Czarnobylski szlach '97" przebiegał w tym roku spokojnie. 26 kwietnia na ulice wyszło ok. 20 tys. osób. W pobliżu Pałacu Sportu odbył się mityng ku czci ofiar katastrofy w Czarnobylu, który przekształcił się w wiec antyprezydencki. Na demonstrację, w charakterze gości i obserwatorów, zaproszono parlamentarzystów z Francji, Niemiec, Polski, Litwy, Ukrainy i Rosji.



Takich napisów pojawia się coraz więcej. Ich malowanie białoruskie włądze publicznie piętnują, jako działania niszczące estetykę domów i osiedli Fot. J. Osiennik

● Odbył się V zjazd Towarzystwa Języka Białoruskiego im. Franciszka Skaryny. Delegaci dyskutowali nad problemami narodowej edukacji, nauki i kultury.

● Na 2-4 maja zaplanowano zjazd założycielski Białoruskiego Patriotycznego Związku Młodzieży. Powołanie takiej organizacji kilka miesięcy temu zainicjował sam Aleksander Łukaszenka, zaniepokojony masowym udziałem młodzieży w demonstracjach antyprezydenckich, przy jednoczesnym zdominowaniu kręgów popierających władzę przez emerytów i weteranów. W republice jest obecnie zarejestrowanych 48 organizacji młodzieżowych, które skupiają tylko 8 proc. tego pokolenia. Działalność BPZM będzie finansowana ze środków administracji prezydenckiej, która już przeznaczyła znaczne środki na przeprowadzenie zebrań założycielskich struktur terenowych tej organizacji.

■ ŚWIAT

Daleki Wschód

● W dniach 21-28 kwietnia Aleksander Łukaszenka przebywał z oficjalną wizytą w Korei Południowej, Wietnamie i Chinach. Dalekowschodnia podróż prezydenta RB była próbą zmiany kursu białoruskiej polityki zagranicznej. Kraje europejskie i USA utrzymują izolację Republiki Białoruś na arenie międzynarodowej.

Francja — Rosja — Stany Zjednoczone

● Organizacje broniące praw dziennikarzy: francuska „Reporters sans frontieres", rosyjska Fundacja Obrony Głasnosti i amerykański Komitet Obrony Dziennikarzy wydały komunikat potępiający łamanie wolności środków przekazu w Republice Białoruś. Zaapelowano do społeczności międzynarodowej, w szczególności do władz Rosji, by wymogły na białoruskim rządzie poszanowanie swobodnego dostępu obywateli do informacji.

Holandia

● Prezydent Aleksander Łukaszenka, jako jedyny przywódca państw-członków Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, nie będzie zaproszony na obchody 50-lecia Planu Marshalla, które odbędą się 28 maja w Hadze. Taka decyzja Królowej Beatrycze (Holandia w tym roku przewodzi Unii Europejskiej) zapadła ze względu na łamanie praw człowieka w Republice Białoruś.

Litwa

● Powołano komitet organizacyjny II Spotkania Białoruskiej Młodzieży Świata, zaplanowanego na 21-25 lipca br. w Wilnie. Nie odbędzie się ono, jak poprzednio, w Mińsku ze względu na niesprzyjającą sytuację polityczną w RB.

Rosja

● 2 kwietnia Aleksander Łukaszenka i Borys Jelcyn podpisali na Kremlu umowę o przekształceniu Wspólnoty Rosji i Białorusi w związek. Zawarte porozumienia nie oznaczają jednak zjednoczenia obu państw, a w gruncie rzeczy są ogólnikową deklaracją zbliżenia tych krajów. Umowa przewiduje koordynację polityki zagranicznej, współpracę w sferach bezpieczeństwa, ochrony granic oraz jednolity system gospodarczy (wolnorynkowy) i wspólną walutę. Do 15 maja w Białorusi i Rosji odbywać się będzie powszechna dyskusja społeczna w celu ustalenia ostatecznej treści statutu związku.

Unia Europejska

● Komisja Europejska ostrzegła władze Białorusi i Rosji, że utworzenie związku tych państw musi zostać poprzedzone referendum w obu krajach. W przeciwnym razie nastąpi złamanie prawa międzynarodowego, za co zarówno Mińskowi, jak i Rosji grożą poważne sankcje ze strony Unii Europejskiej.

USA

● 5 kwietnia emigracyjne Zjednoczenie Białorusko-Amerykańskie (BAZA) i przedstawiciele Białoruskiego Frontu Narodowego w Nowym Jorku pod siedzibami Rosji i Białorusi przy ONZ zorganizowali pikietę protestacyjną przeciwko unii białorusko-rosyjskiej.

Polska polityka narodowościowa na kilku przykładach

(...) W 1956 roku powstały organizacje mniejszości narodowych w Polsce. W tym roku powstało również Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne oraz został założony tygodnik w języku białoruskim „Niwa". Obie instytucje obchodziły więc 40-lecie istnienia. I tu podobieństwa się kończą.

W obchodach jubileuszu Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego wziął udział premier Włodzimierz Cimoszewicz, poza tym obecni byli m.in. minister kultury Zdzisław Podkański, wiceminister edukacji narodowej Kazimierz Dera, dyrektor Biura do spraw Kultury Mniejszości Narodowych Jerzy Bisiak, wojewoda białostocki Andrzej Gajewski. Trud białoruskich działaczy został dostrzeżony przez Kancelarię Prezydenta i troje spośród nich — Walentyna Łaskiewicz, Tamara Rusaczyk i Mikołaj Prokopiuk — zostało odznaczonych przez premiera Srebrnym Krzyżem Zasługi. Kilkunastu innym osobom wręczono odznaki „Zasłużony działacz kultury", dyplomy ministra kultury i sztuki, medale Komisji Edukacji Narodowej oraz odznaki „Zasłużony dla Kultury".

Jubileusz „Niwy", która od kilku lat jest tygodnikiem niezależnym, wyglądał zupełnie inaczej. Nikt z Ministerstwa Kultury i Sztuki, które jest opiekunem pisma, nie pofatygował się do Białegostoku. Wiceminister kultury i sztuki Michał Jagiełło przesłał jedynie zdawkowy okolicznościowy list. Wojewoda białostocki również nie znalazł czasu, by zaszczycić jubileusz swoją osobą. List od niego przeczytał jego pełnomocnik do spraw mniejszości narodowych, Sławomir Halicki. Jak się pewnie Czytelnicy już domyślają, żaden z dziennikarzy „Niwy" nie otrzymał też żadnego wyróżnienia czy odznaczenia. Jak się okazuje, ich zasługi dla kultury Białorusinów w Polsce nie były dostatecznie wielkie. Wstrzemięźliwość władz w stosunku do redakcji najstarszego pisma białoruskiego w Polsce zaskoczyła szereg osób, które mogły pomyśleć, że wyróżnienia obecna koalicja zarezerwowała dla „swoich" Białorusinów.

Inna sprawa dotyczy powołania na początku 1996 r. pełnomocnika wojewody białostockiego do spraw mniejszości narodowych. Utworzenie takiej funkcji w województwie, w którym mieszkają Białorusini, Ukraińcy, Romowie, Tatarzy i Rosjanie, wydawało się decyzją sensowną. Okazało się jednak, że mianowanie na to stanowisko Sławomira Halickiego, człowieka, który nigdy nie zajmował się problemami narodowościowymi, było nieporozumieniem. Mimo to liczono, że w miarę „wchodzenia' w sprawy mniejszościowe, Halicki stanie się ważnym sojusznikiem w rozwiązywaniu problemów środowisk narodowościowych. Niestety, pełnomocnik niczego się nie nauczył, a bomba wybuchła, kiedy dał wywiad białostockiej gazecie „Kurier Poranny" (7.11.1996 r.) Na pytanie dziennikarza, jak identyfikuje się grupy narodowościowe i czy nie wystarcza, że ktoś czuje się Białorusinem, p. Halicki bez wahania odpowiedział: „To kryterium subiektywne. Kryteria obiektywne to religia, pochodzenie, język, historia, tradycja. I nie zawsze ten, kto mówi, że jest Białorusinem lub Polakiem, jest nim w rzeczywistości". Nie będę zastanawiał się, czy p. Halicki będzie zajmował się poświadczaniem polskości bądź białoruskości zainteresowanych. Pozwolę sobie jedynie zauważyć, że wypowiedź ta świadczy o zupełnej nieznajomości międzynarodowych dokumentów dotyczących praw mniejszości narodowych, a w szczególności Dokumentu Kopenhaskiego w sprawie ludzkiego wymiaru KBWE z czerwca 1990 r., w którym czytamy: „Przynależność do mniejszości narodowej jest sprawą indywidualnego wyboru osoby. Z dokonania takiego wyboru nie mogą wynikać żadne niekorzystne konsekwencje".

Wywiad prasowy to rzecz jednorazowa, niemniej problemy, które ujawnia, nie są bynajmniej błahe. Najważniejsze z nich to poziom kompetencji osób, które w aparacie państwowym mają zajmować się problematyką narodowościową (dość znamiennym przykładem jest zatrudnienie na stanowisku dyrektora Biura do spraw Mniejszości Narodowych urzędnika, który całe życie zajmował się muzyką rozrywkową), kreatywność i stopień samodzielności pełnomocników wojewodów do spraw mniejszości narodowych. (...)

Co mają o wypowiedzi p. Halickiego myśleć białostoczczanie? Czy jest ona zapowiedzią jakiejś weryfikacji narodowościowej w regionie, czy też nieszczęsym „chlapnięciem" nie najlepiej przygotowanego do swojej pracy urzędnika?

I znowu inny przykład z niwy białoruskiej. W styczniu 1995 roku Ministerstwo Edukacji Narodowej rozesłało do wszystkich organizacji białoruskich w Polsce pismo z prośbą, by wytypowały jednego przedstawiciela do polsko-białoruskiej wspólnej komisji konsultacyjnej do spraw szkolnictwa polskiej mniejszości na Białorusi i białoruskiej w Polsce. Na pismo to odpowiedział jedynie Związek Białoruski w Polsce, który wytypował do komisji młodego historyka, nauczyciela liceum białoruskiego w Hajnówce, Eugeniusza Wappę, który wziął nawet udział w jednym czy dwóch posiedzeniach komisji. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale w listopadzie ub.r., po prawie dwóch latach istnienia polsko-białoruskiej wspólnej komisji, Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne zwróciło się z pismem do ministra Jerzego Wiatra, w którym wyraziło chęć wytypowania swojego przedstawiciela do komisji oświatowej. Rekomendację z ramienia BTSK otrzymała p. Tamara Rusaczyk, wizytator szkół z nauczaniem języka białoruskiego. Merytorycznie kandydatura ta nie budzi, oczywiście, zastrzeżeń, niemniej powstał problem, co zrobić w sytuacji, kiedy dla mniejszości białoruskiej w komisji wspólnej przewidziano jedno miejsce, a Białoruskie Towarzystwo spóźniło się ze zgłaszaniem kandydatury co najmniej o półtora roku? Urzędnicy Ministerstwa Edukacji zachowali się w sposób raczej dziwny. Otóż na początku grudnia rozesłali po raz kolejny pismo do wszystkich organizacji białoruskich, w którym czytamy: „Ostatnio, tj. w dniu 6.12.1996 r., do Ministerstwa Edukacji Narodowej wpłynęło pismo Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, zawierające wniosek, by do prac Komisji zaprosić Panią Tamarę Rusaczyk jako przedstawiciela mniejszości białoruskiej.

Ponieważ w składzie sześcioosobowej Komisji jest przewidziane tylko jedno miejsce dla przedstawiciela mniejszości białoruskiej, Ministerstwo Edukacji Narodowej uprzejmie prosi o decyzję odnośnie wniosku Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Sprawę prosimy traktować jako bardzo pilną, bowiem najbliższe posiedzenie Komisji jest zaplanowane na 16-18 grudnia br.

Brak odpowiedzi na nasze wystąpienie będziemy traktować jako akceptację wniosku Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Oczywiście nikt nie poinformował wcześniej, pełnoprawnego w końcu, członka wspólnej komisji, pana Eugeniusza Wappę, że w związku z pismem Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego przestaje być członkiem komisji. Ale

to mniej ważny aspekt sprawy. Znacznie ważniejszy jest fakt, że tego typu pisma z urzędów państwowych stawiają pod znakiem zapytania lojalność tychże urzędów względem obywateli: przecież były na pewno już wcześniej jakieś pisma, jakieś terminy, jakieś zobowiązania, które po jednym piśmie Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego zostały wrzucone do kosza. I ta stylistyka: „Brak odpowiedzi na nasze wystąpienie będziemy traktować jako akceptację..." Na marginesie dodam, że w podanych przez Ministerstwo terminach odpowiedzieć nie było można, a to ze względu na fakt, że list z Warszawy do Białegostoku „idzie" około tygodnia.

Z czym mamy w tej sprawie do czynienia: z beztroską urzędników, bałaganem, czy świadomym lekceważeniem wcześniej podjętych zobowiązań? Cokolwiek by to nie było, nie najlepiej świadczy o pracy Ministerstwa Edukacji Narodowej. (...)

Jedynym właściwie miejscem, gdzie postulaty środowisk mniejszościowych mogą spotkać się z przychylnością, jest Sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych, która w związku z tym zajmuje się głównie działaniami interwencyjnymi. Sięgając do utartych metafor można ją określić mianem strażaka, który pędzi od pożaru do pożaru. Cierpi na tym jej działalność długofalowa, a w szczególności prace nad projektem ustawy o prawach osób należących do mniejszości narodowych. Przez pierwsze dwa lata funkcjonowania obecnego parlamentu podkomisja, która została powołana do przygotowania projektu takiej ustawy, niemal nie przejawiała żadnej aktywności i to pomimo że jej przewodniczącym został reprezentant mniejszości niemieckiej, poseł Henryk Kroll.

(...) Obraz polityki narodowościowej ostatniego roku nie jest budujący, nie zmienia tego nawet fakt, że na potrzeby organizacji narodowościowych przyznano trochę więcej pieniędzy, bo tak czy owak pieniędzy zawsze będzie za mało, a bez długofalowej wizji (np. rozwoju mniejszościowej oświaty, kultury, działań na rzecz tolerancji) nie będzie można mówić w ogóle o istnieniu jakiejkolwiek polityki narodowościowej. Wkrótce Polska przeżyje kolejne wybory parlamentarne. Pozostaje wierzyć — chociaż jest to trudna wiara — że nowy rok dla mniejszości będzie bardziej sprzyjający.

Boruta

„Kultura", Paryż, nr 3 1997 r.

Jarosław Charkiewicz

Monaster w Wirowie

Asfaltową drogą wyjeżdżamy z Drohiczyna w kierunku Warszawy. Po długim moście przejeżdżamy na lewy, wyższy, porośnięty drzewami i zaroślami brzeg szerokiej, posępnej, na pierwszy rzut oka niedostępnej rzeki. To już niedaleko. Pierwsza, skręcająca pod ostrym kątem w prawo droga doprowadzi nas do celu. Cztery kilometry po kocich łbach, potem odcinek nadspodziewanie równy i już ostatni zakręt. Święta figurka, jak drogowskaz, wyznacza kierunek. Skręcamy w prawo. Wąską drogą wjeżdżamy w nieliczne zabudowania. Z lewej strony pięknie położony Dom Opieki Społecznej, za nim kilka parterowych budynków. Z prawej dwa stare, drewniane domki. Naprzeciw kościół rzymskokatolicki. Przed nim parking. Zatrzymujemy się. Sięgamy pamięcią wstecz, do nie tak dalekiej jeszcze przeszłości.

Wrzesień roku 1894. Siostra Anna wraz z dziesięcioma nowicjuszkami z monasteru w Leśnej przybywa do Wirowa, by założyć tu prawosławną wspólnotę zakonną dedykowaną na modlitewną pamiątkę metropolity Leoncjusza (Lebiedinski). Siostry mają ze sobą ledwie jednego rubla. „Głuche zapomniane miejsce na wysokim brzegu Bugu Zachodniego" ma stać się ich domem. Głównym zaś zadaniem ma być służba Bogu i pomoc miejscowej ludności.

Siostra Anna (Anna Patto) urodziła się 9 grudnia 1865 roku w Brześciu w rodzinie oficera artylerii carskiej Twierdzy Brzeskiej. Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie w 1881 r. pracowała jako wychowawczyni w gimnazjum w Chełmie, a następnie w Kaliszu. Lata spędzone w Chełmie stały się w jej życiu przełomowymi. Tam spotkała arcybiskupa Leoncjusza i biskupa Flawiusza, tam też dotarły do niej wieści o dopiero co otwartym monasterze w Leśnej, do którego też wstąpiła jako nowicjuszka w 1889 r. Pełniąc coraz bardziej odpowiedzialne funkcje, już po roku została wyświęcona w *riasofor* i stała się drugą po przełożonej (ihumenii Katarzynie Jefimowskiej) osobą w monasterze. Obdarzona wieloma darami, w tym zdolnościami organizacyjno-gospodarczymi, mniszka spędziła najpierw ponad rok w filii w Teolinie k. Grodna, 18 września 1894 r. została przełożoną powstającej filii monasteru w Wirowie.

Za czasów unii

Nie wiadomo dokładnie kiedy w Wirowie zbudowano pierwszą cerkiew oraz w którym roku erygowano tu parafię prawosławną. Być może miało to miejsce już w XIV wieku. Pod rokiem 1526 znajdujemy już wiarygodne informacje świadczące o istnieniu tu świątyni prawosławnej. Położona była w dobrach prywatnych, a obsługiwał ją jeden duchowny.

Cerkiew prawosławna św. Jana Chrzciciela zbudowana została w Wirowie w 1712 r., w okresie, gdy unia brzeska święciła na tym terenie największe sukcesy. Szczodrym fundatorem świątyni był miejscowy właściciel majątku, Iwan Godlewski. W akcie fundacyjnym świątyni hojny budowniczy pisał: „Przy cerkwi tej, dla duchownego i następców jego, wydaję działkę od rzeki do poddanego Romana wraz z sadami tak dolnymi jak i górnymi, na wieczne czasy. Duchownemu temu i jego następcom, duchownym następującym po nim, wydaję po jednej włóce ziemi na trzy zmiany wraz z dodatkami, które w obecności wirowian obecnie dzielę".

Niedługo miejscowa ludność prawosławna cieszyła się posiadaniem własnej świątyni. Kolejni właściciele wirowscy nie tylko nie wspierali cerkwi, lecz na różne sposoby dążyli do jej likwidacji. Szczególnie daleko posunął się w tych zapędach Franciszek Kuszel, który pewnego razu, pod nieobecność wirowskiego duchownego, o. Grzegorza Werpachowskiego, wydał swej czeladzi polecenie spalenia domu parafialnego oraz przyległych do niego zabudowań oraz zaorania pogorzeliska, tak by po powrocie właściciela do domu nie odnalazł on nawet po nich miejsca...

Tymczasem starania duchowieństwa unickiego o przejęcie parafii prawosławnej przyniosły znikome rezultaty. Parafia wywłaszczona zostaje na rzecz Kościoła rzymskokatolickiego. W czasach

napoleońskich była cerkiew prawosławna spłonęła, a zamiast niej na sąsiednim wzniesieniu został zbudowany drewniany kościół rzymskokatolicki, zaś po pożarze w 1833 r. stanęła murowana świątynia. Do roku 1871 z pięciuset miejscowych unitów pozostało ośmiu.

Remont

Po przyłączeniu unitów do Cerkwi prawosławnej w 1875 r., wirowski kościół rzymskokatolicki pozostał „centrum propagandy antyrosyjskiej w guberniach siedleckiej i grodzieńskiej". Taki stan rzeczy trwał do roku 1884, kiedy dzięki zabiegom arcybiskupa chełmskiego i warszawskiego Leoncjusza świątynia została przekazana duchowieństwu prawosławnemu, a miejscowa ludność katolicka przypisana do parafii w Skrzeszewie. Większość ziemi, należącej uprzednio do parafii prawosławnej, powróciło do niej. Podobnie zabudowania, tak jak kościół, zniszczone upływem czasu.

Początkowo władze diecezjalne planowały dokonać przeróbki świątyni, dostosować ją do potrzeb prawosławnych oraz przekazać parafii prawosławnej w sąsiednim Czekanowie. Wkrótce okazało się jednak, iż remont pociągnie za sobą wydatki, na które nie było stać ani władz diecezji, ani miejscowej ludności. Świątynia niszczała coraz bardziej.

Remont kapitalny rozpoczął się dopiero w sierpniu 1893 roku. Wówczas, w odpowiedzi na starania siedleckiego duchownego prawosławnego, o. Nauma Mizieckiego, pragnącego odbudować świątynię, arcybiskup Flawiusz (Gorodiecki) napisał: „Zezwala się ojcu Mizieckiemu, by ten zwrócił się do znanych sobie dobroczyńców o ofiarę na przebudowę kościoła wirowskiego oraz poręcza się mu dokonanie z zebranych środków jego przebudowy na cerkiew prawosławną. Po dostosowaniu kościoła do odbywania nabożeństw prawosławnych, może zostać przy nim umieszczonych kilka sióstr z Leśniańskiej wspólnoty, zgodnie z przedstawionym na to projektem ihumeni". Decyzja ta była pierwszym krokiem ku budowie przyszłego monasteru.

Dzięki dużej aktywności o. Mizieckiego zebrano cztery tysiące rubli, które pochodziły zarówno od wysoko postawionych osób prywatnych i monastererów, jak i wiernych Diecezji Chełmsko-Warszawskiej. Liczne były również dary materialne w postaci ikon, dzwonów, świeczników i naczyń liturgicznych.

Przebudowa i renowacja świątyni oraz dwóch sąsiadujących z nią budynków zakończyła się w niespełna rok po jej rozpoczęciu. Poświęcenia nowej cerkwi dokonał 1 sierpnia 1894 roku arcybiskup Flawiusz, który złożył też ofiarę w wysokości tysiąca rubli na zakup znajdującego się w pobliżu wzgórza, na którym kiedyś wznosiła się cerkiew prawosławna.



Grób ihumenii Anny, pierwszej przełożonej. W chwili jej śmierci monaster znalazł się w fazie największego rozkwitu

Wszystko dla innych, nic dla siebie

Pierwsze lata w Wirowie mniszki spędziły w skrajnej nędzy. Miejscowi unici otwarcie naśmiewali się z panującej we wspólnocie biedy. Większość ludności odnosiła się do mniszek z rezerwą, a nawet nieufnością. By zmienić sytuację, przełożona postanowiła nie zamykać się w murach wspólnoty, lecz prowadzić aktywną akcję misyjną. Siostry rozpoczęły regularne wizyty w domach najbiedniejszych chłopów, pomagając im m.in. w naprawie ubrań i butów. Najważniejszym jednak ich zadaniem było nauczanie dzieci Słowa Bożego.

Gdy nad wspólnotą wisiała groźba zamknięcia z powodu braku środków na funkcjonowanie, po raz kolejny z pomocą przyszedł o. Naum Miziecki. Zorganizowane przez niego kwesty na rzecz wspólnoty odbiły się echem nie tylko w samej diecezji, ale również poza jej granicami. Pokaźne sumy pieniędzy podarowali o. Jan Kronsztadzki oraz Mikołaj II. Za pieniądze od cara zakupiono też położone w okolicy dwa niewielkie majątki. Monasterowi ofiarowano liczne cenne ikony, w tym św. Pantelejmona (oświęcona na Atosie), Czernihowską Ikonę Matki Bożej, św. Mikołaja Cudotwórcy. Działalność monasteru nabrała rozmachu. Pod jego patronatem zaczęła funkcjonować szkoła dla dziewcząt oraz przychodnia lekarska. Szybko też przystąpiono do budowy apteki i szpitala.

Mniszki żyły zgodnie ze specjalnymi zasadami ustanowionymi przez przełożoną. Ich dewizą były słowa: wszystko dla innych, nic dla siebie. Miało to swe odbicie w bardzo skoromnych (mimo poprawy stanu majątkowego) posiłkach i w braku cel klasztornych. Mieszkały po kilka w warsztatach, w stołówce lub w innych podobnych miejscach. Jedynie przełożona miała małych rozmiarów, ubogo wyposażoną celę, a dwie najstarsze siostry mieszkały oddzielnie w jednej celi.

Monaster wyróżniał się ponadto niezwykle serdeczną atmosferą, z jaką spotykały się odwiedzające go osoby. Bez względu na stan społeczny wszyscy byli przyjmowani równie gościnnie. W monasterskiej stołówce często posilali się jednocześnie księżna z dziećmi oraz biedni miejscowi chłopi. Nie dostrzegano też różnicy w sposobie przyjmowania pielgrzymów — prawosławnych, katolików, Rosjan, Żydów czy Polaków.

Z roku na rok wzrastała również liczba pielgrzymów odwiedzających monaster. Poza wielkimi świętami cerkiewnymi największą ich liczbę gromadził dzień Siedmiu Męczenników Machabejskich (1 sierpnia/14 sierpnia). Monaster odwiedził również sam o. Jan Kronsztadzki.

Decyzją z 18-20 grudnia 1898 roku filię Leśniańskiego monasteru żeńskiego w Wirowie postanowiono przekształcić w samodzielną żeńską wspólnotę



Dom Pomocy Społecznej w Wirowie. Niegdyś była tu monasterska przyszkolna cerkiew św. Leoncjusza i tętniło mnisze życie...

zakonną, z nadaniem jej nazwy Wirowskiej Wszechmiłującego Zbawiciela Żeńskiej Pustelni, z taką liczbą sióstr, którą pustelnia będzie w stanie utrzymywać ze swych środków, oraz wyznaczyć na przełożoną kierującą filią mniszkę Annę.

W fazie największego rozkwitu

Uroczystości nadania monasterowi rangi pierwszej klasy, a mniszce Annie tytułu ihumenii odbyły się podczas pobytu arcybiskupa chełmskiego i warszawskiego Hieronima w dniu monasterskiego święta — Siedmiu Męczenników Machabejskich w 1899 roku. Dzień wcześniej, 31 lipca (st.st.), hierarcha dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod budynek, w którym znajdować się miały cele dla mniszek, stołówka oraz cerkiew św. Leoncjusza Rostowskiego. Obie te uroczystości zgromadziły licznych pielgrzymów przybyłych z okolicznych miejscowości. Uroczystości zakończył *molebien* z poświęceniem wody, który odbył się nad brzegiem Bugu.

W 1902 r. ihumenia Anna, przebywająca z wizytą w Sankt Petersburgu, zapadła na suchoty. W celu ratowania zdrowia została wysłana na leczenie do Włoch, skąd do rodzinnego monasteru powróciła po trzech miesiącach. U ponownie wciągniętej w wir pracy ihumenii choroba szybko się jednak odnowiła. Z ponownego pobytu na leczeniu we Włoszech powróciła w maju 1903 r. ledwie o własnych siłach, pozbawiona głosu. Zmarła 29 sierpnia 1903 r. w wieku niespełna 38 lat. Pochowana została po prawej stronie ołtarzowej części cerkwi, w miejscu przez nią samą wybranym, a na jej grobie długo jeszcze odprawiane były *panichidy*.

Po zmarłej pozostała nie tylko dobra pamięć wśród prawosławnych, rzymskich katolików i Żydów. W chwili śmierci pierwszej przełożonej monaster był w fazie największego rozkwitu. Na jego terenie, zamieszkiwanym przez dwieście mniszek, funkcjonowały trzy świątynie (główna — Wszechmiłującego Zbawiciela, św. Leoncjusza przy szkole dla dziewcząt oraz św. Serafina w budowie), trzypiętrowy szpital-przychodnia przyjmujący miesięcznie do tysiąca osób, dwie szkoły, dwa hotele dla pielgrzymów, dom starców, sierociniec, kilka warsztatów oraz pomieszczeń gospodarczych. Jednocześnie pod bezpłatną opieką lekarską monasteru znajdowały się liczne osoby nieprawosławne. Poza murami monasteru znajdowały się dwie kolejne szkoły, ferma mleczna i kilka innych budynków gospodarczych.

Następczyniami i oddanymi kontynuatorkami dzieła ihumenii Anny były ihumenia Zofia i ihumenia Zuzanna. Powstała wówczas kolejna szkoła, oraz zakończono budowę cerkwi św. Serafina.

Wraz z wybuchem I wojny światowej monaster podzielił losy wielu innych wspólnot na tych terenach. W roku 1915 został ewakuowany w głąb Rosji, skąd siostry nigdy już nie wróciły, rozpraszając się po różnych żeńskich klasztorach. Oficjalna likwidacja monasteru nastąpiła „tuż po wojnie".

***

Prawosławny monaster w Wirowie nie istnieje już z górą 80 lat. Niewiele może już tu świadczyć o jego dawnej wielkości i świetności. Z istniejących do 1915 r. trzech świątyń prawosławnych pozostała jedna, będąca obecnie kościołem rzymskokatolickim. Po dawnej przyszkolnej cerkwi św. Leoncjusza pozostał charakterystyczny zarys we wschodnim skrzydle głównego budynku Domu Opieki Społecznej, pozbawiony jednak kopuły. W najgorszym stanie, praktycznej ruinie, znajduje się obecnie dawna cerkiew św. Serafina. Ani drzwi, ani okien, ani dachu...

Nieco więcej otuchy daje widok pozostałych, istniejących jeszcze, zabudowań. Drewniany dom ihumenii to obecnie rzymskokatolicki dom parafialny, dawna szkoła dla dziewcząt to Dom Opieki Społecznej... O istniejącym tu jeszcze nie tak dawno prawosławnym monasterze świadczy niepolska architektura tego ostatniego oraz dwa zachowane nagrobki: ihumenii Anny (z 1903 r.) i archimandryty Arkadiusza (z 1912 r.).

Długie schody, wiodące ze świątyni nad Bug, którymi niegdyś tłumy wiernych zmierzały nad rzekę na oświęcenie wody, prowadzą donikąd. Brak też jakoś tętniącego tu niegdyś prawosławnego mniszego życia...

Jarosław Charkiewicz

Fot. Autor

Dorota Sulżyk

Hałubiatniki

(dokończenie)

Najpiękniejszy chyba moment w życiu gołębiarzy to bratanie się gołębia z człowiekiem. Gołąb siadający na ramieniu. Czy nie urocza jest chwila, kiedy do złapanej samicy przylatuje samiec i siada na rękę?

Chociaż ponoć teraz zdarza się to coraz rzadziej. Wedle słów dziadka Kuźmicza, dawniej gołębie były częściej głaskane, łapano je po pięć-sześć razy dziennie, przenoszono za pazuchą z miejsca na miejsce.

Przywiązują się do człowieka. Pewien chłopak z Michałowa jako główny powód zajęcia się gołębiarstwem podał mądrość gołębi i ich przyzwyczajanie się do właściciela. Czy nie ma w tym dumy człowieka, że udało mu się zaprzyjaźnić z najbardziej wolną, bo skrzydlatą, cząstką przyrody? Bo czy nie ma dumy w słowach dziadka Kuźmicza? — *A czamuż nie, pryzwyczajajucca da haspadara, jak czuży pryjdzie, to zaraz uciakajuć.* W słowach pana Hutnika *nie uciekają jak idę* zamknięta jest istota przyjaźni gołębio-ludzkiej. I jeszcze radość, gdy dodaje: — *Z lasu teraz przyjechałem (w lesie trzeba zarobić parę groszy) to już powychodziły na dach i czekają.* Któryś z trzeźwych realistów dodałby „na zboże". Ale jest to cząstka tej przyjaźni. Uroczy jest obrazek sprzed wielu lat, kiedy dziadek Mikołaj idzie do swego prywatnego młynka, a gołębie, które dobrze znają „smak" tego kierunku, lecą za nim, siadają mu na głowę i plecy.

Usłyszałam nawet pewnego rodzaju przepis na oswojenie gołębia. Trzeba zacząć wtedy, gdy gołębica powoli rozstaje się z małym gołębiem — kilkanaście razy na dzień brać go na ręce, przynosić do domu, nazwać go. — *Bocian go nazwałem, bo z bocianów jest. Jak otwierałem drzwi i wołałem go, to przylatywał i gruchał* — mówi pan Kondratowicz.

Loty

Nudzić się z gołębiami? Gołębiarz uzna to pytanie za profanację istoty gołębiarstwa. Bo... *cikawa sprawa dabirać u pary, cikawa jakija maładyja wyjduć, cikawa pahladzieć, jak jany wylatajuć, spraudżać, czy mondryja* — mówi pan Trochimczyk. — *Cikawa jak całujucca* — wtrąca się babcia Kuźmiczowa. — *Cikawa jak na pole palacić grupa pacztowych i prywiadzie czużoha* — kontynuuje dziadek Mikołaj. No właśnie, pocztowe. Te są najmądrzejsze i najdumniejsze. Chyba wiedzieli Niemcy co robią, kiedy — wedle opowieści dziadka Kuźmicza — w Gródku za okupacji nie pozwalali mieć gołębi. Mogły przecież przenosić informacje. Przy wyborze mieszkania pocztowe kierują się zasadą „im wyżej tym lepiej", bo nie lubią, jak się je łapie. Chętnie siadają na wysokich antenach i obserwują. I pan Luszewski, i dziadek Kuźmicz najbardziej właśnie lubią pocztowe. Do tych przymiotów dodać należy jeszcze zaradność. To właśnie one najszybciej uciekają od jastrzębia, one też zawsze znajdą sobie jakieś ziarno na boku, a podczas wyprawy przygruchają też do gołębnika jakiegoś samotnika. W mieście preferuje się raczej rasę „jasną" (lekką), bo takie — murzyny, winerki, szwarceny, warszawskie — lecą tylko do góry. A pocztowy musi mieć otwartą przestrzeń, dal.

— *Jeśli chodzi o pocztowe, to w tamtym roku Japończyk kupił w Warszawie samca pocztowego — olimpijczyka i zgadnie pani ile on zapłacił? Za trzy miliardy on poszedł! Ten gołąb wszystko miał. On nawet po 1 200 kilometrów robił* — opowiada podekscytowany pan Hutnik. — *Przecież w Michałowie też nie brakuje pocztowych* — stwierdziłam. — *Takie to można na rynku za pięć złotych kupić* — śmieje się mój rozmówca. — *Puszczałem swoje gołębie na 150 kilometrów, ale co to za trasa. Żeby zapisać się do związku gołębiarzy trzeba mieć dobre gołębie, żeby je puszczać. U nas takich nie ma. Ale z Zabłudowa kilku facetów należy do tego związku.*

Wkłada się gołębia do pudełka, klatki, torby i wywozi w nieznane. Wypuszcza się go, a on wraca do domu. Jeśli wraca, to znaczy, że jest mądry. Czasem taka podróż kończy się tragicznie. Jak na przykład w przypadku pewnej gołębicy, którą z Koszalina przywieziono do Gródka. Poleciała z powrotem, ale chyba zbytnio się pośpieszyła (tam czekały na nią małe), bo doleciała i od razu umarła na rozedmę płuc. Gołębiarze często wypuszczają w lot gołębice, które mają młode, wtedy jest bardzo duża szansa, że wróci. Chociaż pewność, że nowo nabyta gołębica, która na nowym miejscu wysiaduje jajka, nie ucieknie, jest czasem zgubna. Bo zostawia je i wraca do starego gospodarza, który może sprzedać ją po raz kolejny. Bywa też, że nie wraca, bo trafia na swojej trasie na jastrzębia lub na gołębiarza. Ostatnio dwóch gołębiarzy z Gródka złapało dwa gołębie z austriacką obrączką. Wedle ich teorii zostały one przywiezione przez kierowców TIR-ów i puszczone w okolicach przejścia granicznego w Bobrownikach.

Krótkie loty to od dawna ulubiona zabawa chłopców z Michałowa (trzeba pamiętać, że prawie każdy dorosły michałowianin ma za sobą etap gołębiarstwa). Były to zawody, które polegały na wypuszczaniu zwykłych domowych gołębi z różnych miejsc Michałowa. Liczono potem te, które wróciły do gołębników. Zwyciężał ten, kto miał najwięcej mądrych gołębi.

Nieopłacalne, opłacalne...

Od młodych ludzi (nie-gołębiarzy) z Michałowa usłyszałam przeróżne opinie o gołębiach i gołębiarzach. Dla Roberta są to ludzie, którzy zajmują się gołębiami bo mają nadmiar wolnego czasu i nie wiedzą co z nim zrobić. Muszą być zafascynowani gołębiami, dzięki nim zapominają o troskach i trudach dnia codziennego. Dla Andrzeja gołębiarstwo to bardzo nudne i brudzące zajęcie, nie lubi „pierzastych". Kiedyś był świadkiem bardzo drastycznego widoku — „ukręcania łba gołębiowi". Mariusz uważa, że robią to ludzie, którzy mają świra na punkcie tych ptaków. Muszą też „cierpieć na nadmiar pieniędzy", ponieważ gołębie nie są opłacalne.

Rodzina gołębiarzy narzeka przede wszystkim na ceny. Ojciec pewnego hobbysty z Michałowa nie krył się ze swoją niechęcią do gołębi: — *Na cholerę te gołębie! Wie pani jaki to wydatek? Trzydzieści sztuk przez półtora miesiąca pół metra pszenicy zeżre. A kasza, kartofle... Ja to bym się ucieszył, żeby jastrząb przyleciał i je wszystkie wziął. Cha, cha! Na króliki to ja amator.* Małżonka pewnego gołębiarza zareagowała na moje zainteresowanie tymi ptakami z błyskiem w oku i zapytała: *Chce pani kupić?*

Ciężko zrozumieć nie-gołębiarzowi ptasią pasję. Zwłaszcza na wsi, gdzie każdą „żywinę" rozpatruje się pod kątem opłacalności. Krowa, bo mleko, świnia, bo mięso... Gołąb... No właśnie. — *Haspadary śmiajucca. Ja nawet nie uspaminaju, szto ja hołuby trymaju* — mówi pan Trochimczyk i dodaje: — *Biełarusy nie majuć zamiłowania da hołubau.* Oj, ile to sześćdziesiąt lat temu swarów było za te gołębie w rodzinie dziadka

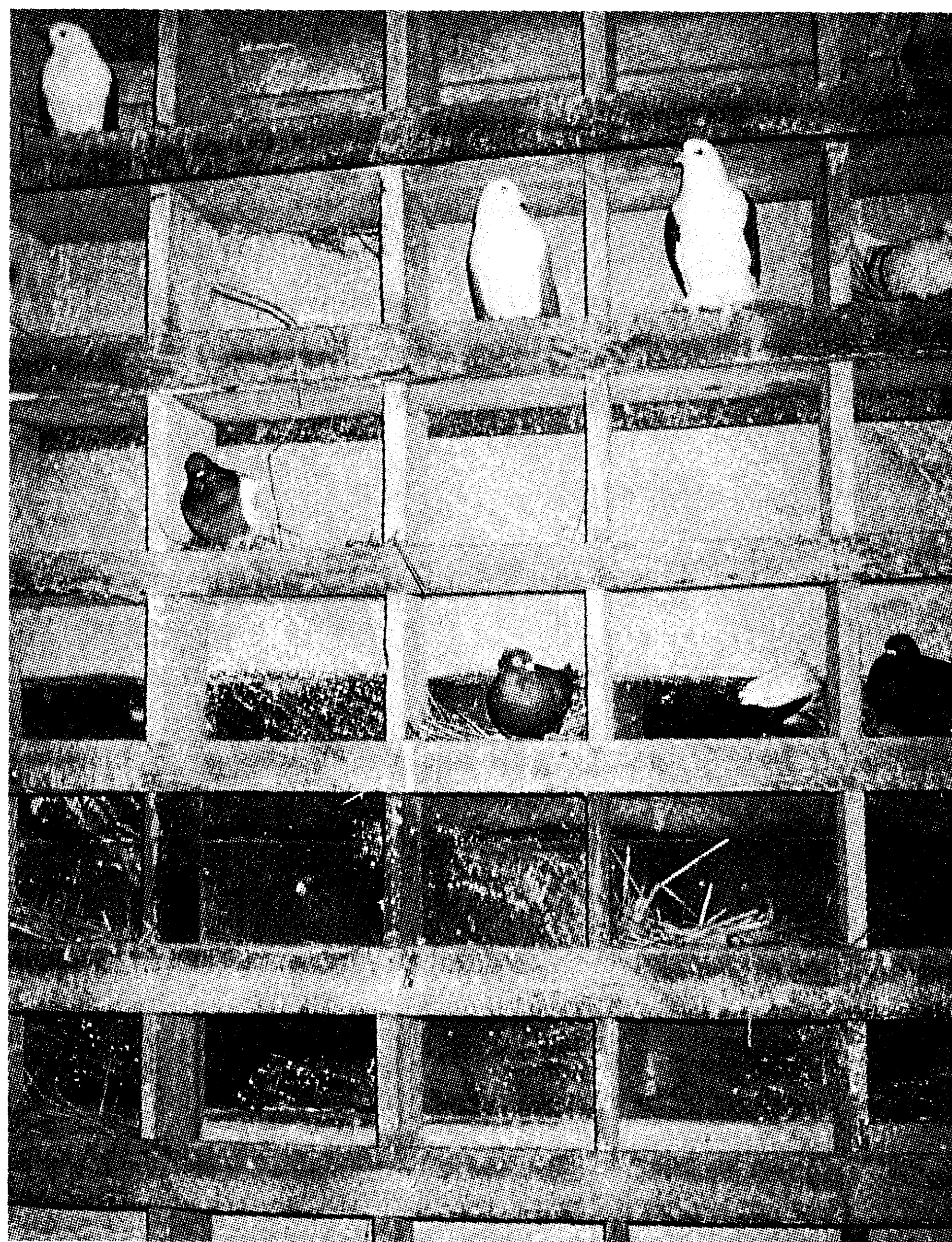
Mikołaja. Bo trzeba było uczyć się, pomagać w gospodarstwie, a nie tak jak on — biegać przez cały dzień i łapać łysaki aż do wieczora. Potem krzyczała młoda żona, że bieliznę strach wieszać na podwórku.

Wszyscy odpowiedzą na ironiczne „po co to" tak samo. I dziadek Mikołaj, i pan Trochimczyk, i pan Hutnik. Nie wszystko musi być opłacalne, ale masz takie zamiłowanie i koniec.

Lubią podkreślać z dumą w głosie, że te skrzydlate udomowione mogą być opłacalne. Można na przykład pojechać do Warszawy lub Łodzi i tam kupić ptaka za cztery złote, a tu sprzedać po osiem. Pan Hutnik podkreśla, że można żyć z gołębi i to całkiem nieźle. Z lekką zazdrością podaje za przykład michałowianina, który mieszka obecnie koło Warszawy i zajmuje się gołębiami. A od siebie dodaje, że ostatnio chciał kupić samicę. —*Ale weź, bańka, tak się zdaje, a ja pojadę do lasu, załaduję 60 metrów i mam dwadzieścia złotych. Cały tydzień muszę harować na gołębia. Hobby kosztuje.* A marzą mu się ładne gołębie. Ostatnio pisał z kolegą do znanej firmy zajmującej się hodowlą gołębi pocztowych Eijerkamp Ponderosa Polska z Opola. Dostał odpowiedź z broszurką i cennikiem od 250 do 600 złotych. Pan Hutnik uśmiechając się kwituje tę sprawę pytaniem retorycznym: — *Dla nich to niewielka suma, ale daj dwanaście milionów za parę, a jak na przykład przyjdzie jastrząb i weźmie?* Ale i bez tych dumny jest ze swoich gołębi — mądrych, bo dla niego ważne to co gołąb ma „pod sufitem" i podkreśla, że niektórych jego ras to nikt w całym Michałowie nie ma.

Pijany gołąb

Nie tylko jastrząb, zmora gołębiarzy, przychodzi i bierze smaczne kąski. Historia prowincjonalnego gołębiarstwa ukazuje wymyślne techniki kradzieży. Najkrócej „tajnego" złodzieja zdefiniował pan Hutnik: — *E tam, jaki to złodziej, swój złodziej, przyjdzie obejrzy i wie co i jak. Potem może w nocy wrócić i podpieprzyć.* Pewnemu gołębiarzowi z PGR-u Hieronimowo zniknęło w nocy 149 gołębi. Komentarz był krótki — michałowcy dowiedzieli się, że ma ładne gołębie, wyrwali zamek i zostawili tylko jednego. Dziadkowi Mikołajowi ukradziono kiedyś w biały dzień, a panu Trochimczykowi dwa razy w nocy (bardzo żałował, bo były wśród nich cenne gołębie od Leona Tarasewicza). Też „sami swoi".



Jeszcze ciągle łapie się cudze gołębie, ale tylko wtedy, gdy przez przypadek zaplączą się na podwórku. W zapomnienie odeszło już wykupywanie gołębi. Dziadek Mikołaj pamięta jak przed wojną zadarzało się komendantowi policji wykupywać od niego gołębie — dziesięć groszy za sztukę. Za tę samą cenę można było kupić dwie garście pestek. A jakich sposobów używano do wabienia gołębi! Można było kręcić szmatą, wtedy ptaki zrywały się z dachu i przyprowadzały obcego samotnika. Można też było na alkohol. Chłopcy z Michałowa wiedzieli, gdzie szukać latem cudzych pocztowych. Zastawiano na ścierniskach pułapki. Nasączony alkoholem groch na żyłce i pętelki z końskiego włosia. Zaplątany, w dodatku pijany gołąb, nie dał już rady uciekać. Sposób na „pijany" groch nieobcy był też gródeckim chłopcom. Ale, jak mówi dziadek Mikołaj, dziś już się grochu nie sadzi, a i gołębie nie chcą go teraz jeść.

A pan Hutnik rozmowę o kradzieżach zaczął od „jeszcze dziesięć lat temu..." Wszyscy kwitują z żalem w głosie, że tak naprawdę nie ma już od kogo wyłapywać gołębi. „Sami swoi" już się rzadziej interesują cudzymi gołębiami, za to coraz bardziej zaczęły się nimi interesować kuna i tchórz, a kiedyś, jak twierdzi dziadek Mikołaj, nie było „tej zarazy". Do tych nieszczęść dołączyć trzeba „przywleczone" skądś gołębie choroby. W dodatku ani żyta, ani owsa dać gołębiom nie można, bo zaraz chorują. Cywilizacja?

***

Dziadek Mikołaj zaczął przypominać i liczyć gródeckich gołębiarzy. Tak wielu ich było, że liczby ciągle się plączą. Dziś przynajmniej rachunek prosty — dziesięciu hodowców. W słynnym gołębiarskim miasteczku Michałowie gołębiarzy było „od cholery". Całą niedzielę można było przestać na podwórku i gapić się na cudze nowości przywiezione rano z białostockiego rynku. Dziś tylko jedenastu zapaleńców podtrzymuje tę tradycję. Niektórzy dawni gołębiarze zamieszkali w bloku, niektórzy...

— *To tylko na naszym terenie gołębie coraz mniej popularne. Na rynku w Białymstoku z naszych stron nie ma prawie nikogo. Są z Białegostoku, Łomży, Łap, Krynek. Tam to często pokoleniowe hobby. I ojca, i dziec.* — w głosie pana Trochimczyka wyczuwa się żal.

Dla młodych ludzi to mało atrakcyjne zajęcie, wymagające czasu i brudnej pracy. — *Dla maładzioży grunt to dobra adziecca i hroszy mieć, niczym nie interesujecca* — powie gołębiarz starej daty.

Zapytałam nieśmiało jednego z moich rozmówców, czy nie ma przypadkiem czasem ochoty na rozstanie z gołębiami. Żywo zaprotestował i dodał, że z tymi swoimi ptakami to na pewno już tak do śmierci zostanie. Bo przecież niebo ma sens tylko wtedy, gdy można tam zobaczyć gołębia.

Pan Hutnik zasiada do pisania listu do brata i zastyga z długopisem nad białą kartką papieru. Bo przecież dzień jak co dzień. Nie będzie chyba pisał o czerwonych bertoltach. Chociaż na myśl o nich uśmiecha się. Dziś rano wykluły się małe pierzaste czerwone bertolty.

Dorota Sulżyk

Fot. J. Sulżyk

Irena Matus

Na nocnym wypasie

Los wiejskich dzieci był kiedyś tak samo ciężki jak ich rodziców. Doskwierała bieda, na przednówku pod strzechy nieraz zaglądał głód. Dzieci zmuszano do ciężkiej pracy w polu i w domu. Szczególnie uciążliwe było nocne wypasanie koni, potocznie nazywane *nuczlihami*.



Pastwiska w okolicy Kaniuk

W gospodarstwie koń stanowił wielkie bogactwo. Chłop niejednokrotnie dbał o niego bardziej niż o siebie czy swoją rodzinę. W okresie intensywnych prac polowych, głównie orki, koń potrzebował więcej paszy. Nie wystarczał stadny wypas na lichych pastwiskach, gdzie zwierzęta stale były niedożywione. Konieczne stawało się dokarmianie ich także w nocy.

Gospodarze nie mogli tym się zajmować, gdyż niewyspani nie dawaliby rady pracować w polu. Dlatego nocnym wypasem z dawien dawna trudnili się ich synowie — chłopcy w wieku od ośmiu do kilkunastu lat. Zdarzało się, że posyłano do tego zajęcia nawet sześcioletnie dzieciaki. Co noc przebywały one na pastwisku od żniw do pierwszych przymrozków.

Do *porepaski*, jak nazywano czasem tę czynność, chłopcy szykowali się już o zmroku. Z kolegami uzgadniali miejsce wypasu, aby później nie wchodzić sobie w paradę. Dla większego bezpieczeństwa łączono się w kilku- lub kilkunastoosobowe grupy. Przeważnie razem wypasano po 10-15 koni. Każda grupa miała swego lidera, którym był najstarszy, najsilniejszy lub najbardziej cwany chłopiec. Konkurowano o miejsce wypasu, starano się wybrać jak najlepsze pastwisko. Często były nim łąki należące do sąsiednich wsi. Takie podpasywanie zdarzało się nagminnie. To, co nie uchodziło dorosłym, robiły za nich dzieci. Chłopcy musieli być niezwykle czujni, aby nie doszło do wpadki. Kiedy przyłapywano ich na podpasywaniu, rodzice musieli później się tłumaczyć, bądź nawet wykupywać przejęte konie.

Na pastwisku tylko sporadycznie porozumiewano się okrzykami. Słowa zastępowało pogwizdywanie. Już od najmłodszych lat dzieci uczyły się tej umiejętności. Naśladowano też odgłosy nocnych ptaków i zwierząt, szczególnie sów i puchaczy. Pastuszkowie

zadziwiali swą sprawnością

fizyczną i sprytem. Każdy z nich był świetnym jeźdźcem. Chłopcy uczyli się tego od najmłodszych lat. Nie potrzebowali żadnego siodła, chwytali się końskiego ogona i hyc do góry. — Prawie każdy potrafił wykonać nożyce, bądź popisać się staniem na rękach na galopującym rumaku — wspomina Włodzimierz Naumiuk z Kaniuk.

Na pastwisko obowiązkowo zabierano pęto do krępowania końskich nóg. Spowalniało ono kroki zwierzęcia, zabezbieczając przed ucieczką (ale ułatwiało uprowadzenie). Pęto skręcano najczęściej z konopnej, rzadziej z lnianej, przędzy. W niespokojnych czasach, zaraz po pierwszej, a później po drugiej wojnie światowej, często zdarzały się kradzieże koni z pastwisk. Dlatego szukano skuteczniejszych rozwiązań — praktykowano zakładanie pęt żelaznych, zamykanych na klucz, który pastuch nosił zawieszony na specjalnym rzemieniu przy pasku. Dla wzmocnienia sił przed koniokradami na pastwisko wysyłano czasem osobę dorosłą, najczęściej starca. Jednak chłopcy niechętnie widzieli go w swoim gronie.

Po zaprowadzeniu koni pastuszkowie wybierali spośród siebie jednego lub dwóch dyżurnych wartowników, na których spoczywała największa odpowiedzialność. Bezwzględnie musieli czuwać całą noc, nie mieli prawa zdrzemnąć się nawet na moment, cały czas nasłuchiwali. Musieli ciągle obchodzić konie, liczyć je i sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Pozostali dzielili się innymi rolami, nikt nie próżnował. Jedni szykowali drewno na ognisko, drudzy już je rozpalali. Jeszcze inni dostawali

zadanie specjalne

— zdobycie jedzenia. Była to rola najtrudniejsza, najbardziej ryzykowna i często łącząca się z przygodą. Chłopcy musieli ukraść ziemniaki, które pieczono później w ognisku. Udawali się też po owoce i warzywa (bardzo smakowały świeże ogórki jedzone z upieczonymi ziemniakami). Zasadą było, że po te „skarby" nigdy nie udawano się do swoich wsi, zawsze do sąsiednich.

Włodzimierz Naumiuk tak oto wspomina chłopięce przygody z czasów swych *nuczlihów*:

— Najchętniej zapuszczaliśmy się na urodzajne cieluszeckie ogrody. Z dawien dawna ta wieś słynęła z wyjątkowo dorodnych i smacznych ogórków. Podczas takiej nocnej eskapady należało zachować maksymalną ostrożność i wykazać się nieprzeciętnym sprytem. W przeciwnym razie długo odczuwało się obolałe pośladki lub plecy, gdyż chłopi bardzo rzadko pozostawiali ogrody bez dozoru. Jeszcze przed wyprawą obmyślano plan ewentualnej ucieczki. Najczęściej stoso-

wano zasadę „ratuj się, kto może". Chłopcy uciekali się też do bardziej wyrafinowanych sztuczek i wybiegów. Na oczach ścigającego potrafili zniknąć z powierzchni ziemi, chowając się na przykład w... studni, nie wahając się wskoczyć do cembrowiny i zawisnąć nieruchomo niczym nietoperz. Dzieci nie robiły tego dla przygody lub tylko ze strachu przed gospodarzem, który po pojmaniu małych podbieraczy ogórków lub jabłek, łoił im skórę ile wlezie. Większość maluchów ryzykowała, bo stale była niedożywiona. Nie wypadało też zawieść oczekujących na jedzenie kolegów. Powrót bez łupów oznaczał sromotną klęskę. Kiedy któryś wracał z płaczem, już było wiadomo, że ani w kieszeniach, ani za pazuchą nic nie ma. Pamiętam, jak bardzo gorzkie było to uczucie.

Dzieci obarczano ogromną odpowiedzialnością, powierzając konie ich opiece. Dlatego musieli tworzyć zgrany zespół. Nie było mowy o działaniu na własną rękę lub wyłamywaniu się z ogólnie przyjętych reguł. Wszystkich jednakowo obowiązywał niepisany, ale surowo przestrzegany kodeks pastwiskowy, zgodnie z wielopokoleniową tradycją. Szczególne wymagania stawiano wartownikom, gdyż od ich czujności i rzetelności najwięcej zależało. Pastuszkowie pełniący tę rolę byli tego świadomi. Ich

największym wrogiem był sen.

Próbowali najróżniejszych metod, by nie zasnąć. Nacierali oczy cebulą, a gdy to nie pomagało, to gryźli się w język. Ból sprawiał, że sen na jakiś czas odchodził, ale zaraz wracał ze zdwojoną siłą. Sposobem na to była też wiara w tajemniczy ogień, który miał się na krótko pojawiać w miejscu, gdzie zakopano złoto. Dziadek towarzyszący chłopcom podczas wypasu celowo snuł takie fascynujące opowieści. — Pamiętajcie — mówił — nie śpijcie, bo tylko najczujniejsi i najwytrwalsi mogą zobaczyć złotodajny ogień, tylko oni mogą stać się bogaczami. Cóż bardziej mogło podziałać na dziecięcą wyobraźnię? Ale i ta zachęta nie zawsze okazywała się skuteczna. Sen o brzasku był tak słodki, że dzieciaki, umęczone pracą w polu poprzedniego dnia, nie mogły się oprzeć i zasypiały na pastwisku. — Nigdy nie zapomnę jak bardzo chciało się spać, szczególnie nad ranem — wspomina pan Naumiuk — ale również i tego, jak potem bolały poturbowane plecy. Koledzy co jakiś czas kontrolowali wartowników i każda wpadka kończyła się bardzo smutno. Przyłapanego na drzemce karano surowo i brutalnie. Na nogę śpiącego zakładano uzdę, a następnie z ust przywódcy grupy padała dobrze wszystkim znana komenda: „Hooouuu raz!" Wtedy gwałtownie szarpano za uzdę. Raptem przebudzony nieszczęśnik doskonale wiedział, co go czeka i że nie ma odwrotu. Wśród kolegów nie było już żadnych kuzynów, powinowatych i przyjaciół — każdy spoglądał tylko złowrogim i mściwym wzrokiem na „ofiarę". „Oprawcy" ze śpiewem na ustach ciągnęli za uzdę. Słowa piosenki mieszały się z nienaturalnie głośnym i przeraźliwym płaczem karanego. Nieszczęśnik w najczulszych słowach przyzywał wtedy matkę i ojca, modlił się do Boga, błagał kolegów o przebaczenie. Wszystko na nic. Nie pomagały zapewnienia i przysięgi winowajcy, że przyniesie im jabłka lub inne jedzenie. Nie mógł liczyć na żadną litość, musiał ponieść karę. Koledzy ciągnęli go za nogi, cały czas śpiewając. Wkrótce ubranie (liche, domowej roboty) było całe mokre od nocnej rosy. Lniana koszulina zataczała się aż pod szyję, odsłaniając chude dziecięce plecy, które ranił żwir, kamienie i wystające korzenie. A nieszczęśnik wciąż błagał o litość i głośno płakał. Lament tylko prowokował kolegów: — Jak nie zamilkniesz, to pociągniemy cię do lasu — ostrzegali. Co to znaczy, dobrze wiedział. Szpilki jałowca raniły plecy o wiele boleśniej niż mokra trawa. Stopniowo tracił nadzieję, głośny płacz przechodził w szloch, a na koniec tylko pochlipywał. Koledzy wciąż kontynuowali tortury, chociaż w głębi duszy każdy mu współczuł. Potrafili ciągnąć tak nawet kilka kilometrów. W końcu przychodził jednak moment, gdy któryś (najczęściej przywódca) mówił „dość". Wtedy powracała serdeczność, wszyscy pomagali pozbierać się poturbowanemu. Własną śliną obmywali zakrwawione plecy kolegi, z włosów wyciągali śmiecie, otrzepywali ubranie. Poszkodowanemu mijała złość. Wiedział, że lepiej oberwać od rówieśników, niż w domu, gdyby z jego winy ukradł ktoś konia. Chłopiec ocierał łzy i wracał do grupy.



Pastuszkowie podążali do ogniska. Jego ciepło jednoczyło wszystkich w serdecznym, przyjacielskim kręgu. Ogień rozgrzewał zziębnięte dziecięce ciała, suszył bose, przemoczone nogi. Dzielono się wtedy zdobyczami i chłopcy spożywali wieczerzę. Słychać było wyciszony gwar dziecięcych rozmów, piskliwy śmiech i od czasu do czasu rżenie pasących się w pobliżu kasztanów, dereszy, łysych, gniadoszy, siwków...

***

Z nadnarwiańskiego krajobrazu już dawno zniknęły tabuny pasących się koni. Zastąpiły je traktory. Ich już nie trzeba nocą dokarmiać. Życie dzieci na wsi całkowicie się zmieniło. Chłopcy nie muszą już ciężko pracować w polu, mają czas na telewizor, wideo, książkę. Ich zainteresowania i upodobania są jakże inne niż rówieśników kilkadziesiąt lat temu. Wątpię jednak, czy podołaliby dziś oni trudom nocnego wypasu koni. Nie wiem — dobrze to czy źle...

Irena Matus

Fot. Autorka i W. Zawadzki

Nocne wypasy zaczęły zanikać po przeprowadzeniu komasacji. Scalenie gruntów umożliwiło powstanie pastwisk indywidualnych i w ogóle przyczyniło się do postępu rolniczego. Tej, zapomnianej już i dziś nie docenianej, operacji będzie poświęcony artykuł w następnym numerze.



Viktor Stachviuk

Alosza



Rybaki spuod Narvy Reżba W. Navmiuka

Najznatniyejszym rybakom w Tryścianci byw Pawluczyszyn Alosza. Ne prosto rybak, a ekspert i autorytet. Łoni wmer, ale mniye szcze poszczaśtiłosie z jim pohovoryti. Hołosom tichszym od szurszania pisku u ryeczci, Alosza rozkazuvaw pro pidisiat szyeśt' lyet provedianych w vodiye. Wspomniwszy cikave, vuon raptom ożywlawsie, voruszyw wsiyem tiyełom, ne hlediaczy na rewmatyzmom pokruczanu ruku. To ryka brała svoju daninu za lyeta pluchania u juoj. Była vona joho życiom i kormilicieju. Jak sam kazaw, vuon może tyszczu razy perejszow jye od Kovalichi do Tełuszok. Znaw każdy korcz, każdy dubczak, każdy naviyes. Viyedaw de ryba może schowatisie i jak jye stuol vyhnati prosto w siyet'. A to sztuka ne pytaj! Czoho tuolko ludi ne prydumajut! A chocz by rozpalane do sivizny kamiyenie! Joho kidali w hłuboki jamy perepletiany koryeniom łozinovych korczuow, skuol ryby nijak ne voźmesz, ani ne prożenesz na seredinu ryki. Tuolko żeżki kameń, szto z szypuczymi buńkami prodirawsie na samo dno, lakaw, persze baczywszy takoje, rybu.

Roskazuvaw Alosza, jak z Simonczukovym Miszoju i Stachviyejovym Mikołajom pojyechali pod Tełuszki. A tyje każut: — To nasza ryka i my puojdem perszy. — Dobre, — zhodylisie tryściane, — jdiyete. I potiahnuli siyeti. Tełuszki poperedi, a tryściane sotniu-puwtory metruw za jimi. Nespiyeszno, po-hospodarsku, dokładno vyhaniali rybu. Alosza nurciovaw, odczepluvaw siyet', kotoru tiahli pry samych doboczkach. Pod nekotorymi można było propływśti, abo ciyełomu schovaćcie pud naviyesom. Zatoje ryby tam, by bołota! Koli dochodili do piszczanoho berehu, to tełuszećki wże składali siyet'. Żartovali: — Ej, tryściane! Mylo uziali?

— Kob ty jich baczyw, — hovoryw Alosza, — jak my stali vytiahati siyet'! Jak zachodili na płytkum szczupaki i jazi! Jak zabilisie kryła siyeti od wsiakuj drubezy! Aż duch zapirało!

Misza Simonczukuow odnoho posław po haryełku i sztoś na rybu. Toj pryniuos litra i kuońsku torbu. Misza nasypaw jomu pownu i każe: — Ja ż hovoryw, pryneś miszka!

— Ale szto ty chocz! Koliś, to ne teper! Jaki byw lyes, bołota neprełazny, a navet' ryeczeczki, kotorych diś sowsiyem nema!? A sama Ryka? Było siyem ryk. Simi miściami jszła voda. Neopytny orel u czas rozlivow muoh pas zahnati na popławy. Voźmi i vyberyś! Tak i z łuovloju. Dureń probowtajećcie puw dnia w vodiye za żmeniu drubezy. A czom? Bo ryeczku, to vuon znaje z berehu. A wsioho treba uczytisie i każde diyeło treba znati. — Alosza hlanuw na pokruczanu ruku. — I wsio maje svoju cenu, ne vykruneszsie aby-czym.

— Ne szkodujete czasom, szto można było żyti inaczej, lokszej, w horodi, de voda wse tepła, a pro rewmatyzm poczuti w televizory?

— Ty viyedajesz, niye! Szkoda ono toho, szto pryroda tak zminiłasie, za taki korotki czas. Tam, de koliś szumiew lyes, a krykom dikich ptaszok napownialiś bołota, diś roste posadoczny mołodniak i czortopołoch. Niszto nikomu nepotryebne, ni pole, ni łonki, ni łuhi. A najbuolsz szkoda vysychajuczych, czut' wże ne mertvych ryeczok. Bo my ryboju żyli. Ty ne dumaj, koli telatina kosztovała sorok hroszy, to ryba kosztovała złot. A zimoju try.

— A komu vy jye prodavali?

— U Zabłuduowji, dla Żyduow. I siudy pryjiżdżaw specjalno Żyd i Błochova brała. Ale z ryboju to tak. Hlane Żyd u ziabra i koli biyeły, to kob darom oddavaw, ne voźme. Bo ryba psujećcie od hołovy. I ni meńka, ni soma ne voźme, bo ne maje łusok.

Aloszy wże nema. Vuon po toj buok, na neobsiażnych popławach, pronizanych rusłami rajskich ryek, z nevudom pownym uspominuw.

Żal, szto tak mało jich ostaviw na zemlye.

Michał Mincewicz

Garbarz z łaski bożej

— Kiedy Cygan kupuje kożuch? — od pytania zaczyna rozmowę pan Jarosław Odzijewicz, 70-letni mieszkaniec Orli, który garbarstwem i kuśnierstwem zajmuje się od ponad pół wieku. — Otóż kupuje latem, bo wtedy jest najtańszy. A nasi ludzie latem nie przyjdą, a gdy już uszyjesz, to będzie wisiał, aż nastaną mrozy.

— Pracuję przy skórach od 1946 roku. Szkoły wielkiej nie mam, ale swój fach czuję w rękach — ciągnie swą opowieść pan Jarosław. — Byłem w piątej klasie, ale jak przyszli Rosjanie w 1939 roku, to cofnęli mnie znowu do czwartej. I tak ukończyłem sześć klas, a potem już przyszli Niemcy. Trzeba było chodzić na robotę do niemieckiego majątku. Pracowałem w kaflarni, przy krowach, sianie i kartoflach. Gdy niemiecki komisarz Sandecki zobaczył, że się obijam, to trzepał kijem gdzie popadło!

— W 1946 roku poszedłem na dwa lata terminować w Bielsku Podlaskim u Teodora Siebiesiuka. Potem, w 1948 roku, byłem dwadzieścia siedem miesięcy w Wojskach Ochrony Pogranicza, koło Szczecina. Po wojsku wróciłem na praktykę, ale już za pieniądze. A po dwóch latach wróciłem do domu.

— W tym czasie na prywatne wyprawianie skór władze nie dawały pozwolenia. Zdarzało się, że garbarze po kilka razy siedzieli za to w więzieniu. Ja nie należałem do żadnej organizacji czy partii, nawet do ZSMP. Za to czepiali się nawet mojego brata, prezesa Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", pisali donosy... Uratowało mnie tylko to, że byłem kierownikiem w miejscowym domu kultury. Prowadziłem go z instruktorem muzycznym Saniewskim, grałem nawet w białoruskim ludowym zespole mandolinistów „Orlanie".

W listopadzie 1956 roku Jarosław Odzijewicz ożenił się z młodą nauczycielką Szkoły Podstawowej w Szczytach, Stefanią. Przez siedem lat mieszkali w domu rodziców.

— Pierwsze kożuchy szyłem w kuchni przerobionej z komory. Zaczynałem od pięciu palców. Prądu po domach nie było, więc szyłem przy świecy, a potem przy malutkiej lampie gazowej. Wszystko robiłem ręcznie, nici i guziki też były swojej roboty. Mieszkało się i pracowało w prymitywnych warunkach. Z czasem, dzięki swojej pracy, wybudowałem dom, potem warsztat, kupiłem maszynę do szycia (starego „Singera" z nożnym napędem).

— Cenię solidność i dokładność — mówi pan Jarosław, gdy oprowadza mnie po swoim warsztacie. — Kuśnierz przed rozpoczęciem każdej pracy musi zapoznać się z surowcem przeznaczonym do obróbki. Musi umieć go rozpoznać poprzez dotykanie, pocieranie, zgniatanie... Wartość użytkowa skóry zależy w znacznym stopniu od cech naturalnych oraz uszkodzeń poubojowych i konserwacji. Skóra, w zależności od rodzaju, wieku, rasy, płci i warunków w których zwierzę żyło, wykazuje różną gęstość struktury włóknistej.



Pan Jarosław w swoim warsztacie. Uszyte kożuchy czekają na odbiór, bywa że od lata do pierwszych mrozów

— Na wyprawę skóry składają się czynności związane ze zdejmowaniem skóry, konserwowaniem, moczeniem, usuwaniem pozostałości tkanki mięsnej, myciem, ścieraniem, garbowaniem, natłuszczaniem, barwieniem i uszlachetnianiem.

— Skórę zdjętą z tuszy poddaje się konserwacji bezpośrednio po ostygnięciu, w przeciwnym razie surowiec szybko gnije. Najczęściej soli się ją solą kuchenną z dodatkiem środków antyseptycznych, np. pochodnych fenoli, naftalenu, fluorokrzemianu sodowego lub kwasu borowego oraz środków alkalicznych — zazwyczaj węglanu sodowego. Ponieważ skóra w procesie garbowania musi mieć odpowiednią wilgotność, należy ją poddać moczeniu. Część mokra wyprawy składa się z etapu chemicznego i mechanicznego. Chemicznie skórę myje się i odtłuszcza. Mechanicznie usuwa się pozostałości tkanki mięsnej. Skórę moczy się w kadzi drewnianej, w odpowiednich proporcjach wody, soli i kwaśnego siarczanu sodowego. Prawidłowo rozmoczona skóra powinna być miękka i „przelewać się" w rękach. Musi też osiągnąć odpowiedni kolor błony w mizdrze (powierzchni przylegającej do tkanki podskórnej).

Po odwirowaniu wody usuwa się resztki mięsa i wyrównuje skórę za pomocą kos kuśnierskich lub noży o półokrągłym ostrzu. Następnie usuwa się tkankę mizdrową, by skórka miało jednolitą



Drewniany cytrok i kadź — garbarskie urządzenia do chemicznej obróbki skór

grubość. Bardzo tłuste skóry owcze czy jagnięce oczyszcza się poprzez mycie w roztworze szarego mydła i sody kaustycznej.

Aby zabezpieczyć skórkę przed procesami gnilnymi i fermentacyjnymi, nadać jej pożądaną miękkość i elastyczność oraz odporność na działanie wody, skóry poddaje się garbowaniu. Skóry garbuje się za pomocą środków roślinnych, chromowych bądź zamszowych. Robi się to w kadziach, dołach, bębnach lub stępach. Dla przykładu, do wygarbowania 20 owczych skór używa się dwudziestu wiader wody i dwóch kilogramów kwasu mrówkowego. Skóry pozostawia się w kadzi na dwie doby. Następnie wyjmuje się je, suszy, a następnie chromuje sposobem kąpielowym lub po prostu szczotką. W dalszej kolejności skóry suszy się i uszlachetnia na rozbijarce i szlifierce.

Do następnej operacji używa się dużego bębna garbarskiego, zwanego lejtrem, w którym oczyszcza się włos. Do komory lejtra na 20 kilogramów trocin brzozowych lub bukowych dodaje się 10 dekagramów benzyny. Po około dwóch godzinach pracy lejtra skóry przekłada się do lewej części maszyn — komory z siatką, w której oczyszcza się je z trocin.

Lejter do warsztatu pana Jarosława w latach 70. wykonał miejscowy stolarz Jan Mincewicz. Żeby go zainstalować, trzeba było wstawić szerokie drzwi.

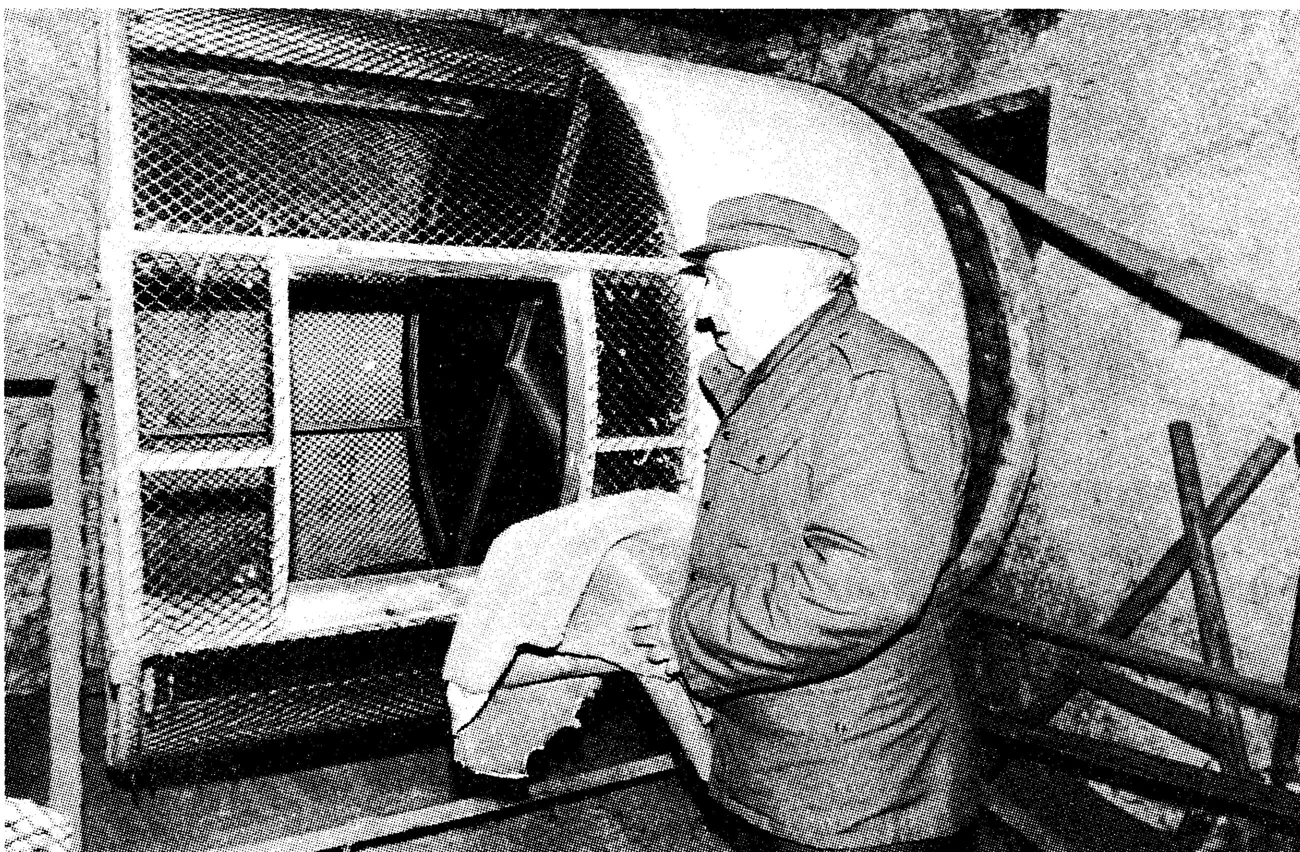
Tak oczyszczone skóry poddaje się zabiegowi mizdrowania — na specjalnej szlifierce usuwa się mizdrę.

Po wygarbowaniu skórę poddaje się zabiegom chemicznym i mechanicznym, które nadadzą jej elastyczność i odpowiednie właściwości użytkowe. Skóry owcze, po przepłukaniu w wodzie, suszy się i wygładza na wygładzarce. Następnie lekko się natłuszcza olejami roślinnymi lub tranem.

Kożuch można szyć ze skór niefarbowanych, wtedy otrzymujemy ubranie w naturalnym, jasnym kolorze, lub farbowanych. Farbuje się je za pomocą szczotki, gdy chcemy nadać kolor tylko jednej części skóry, lub zanurzamy skórę w cytroku, gdy chcemy zmienić kolor całej skóry. W ostatnim przypadku na litr wody daje się 10 dekagramów barwnika.

— Ja w szkoły zbytnio nie wierzę — mówi pan Jarosław Odzijewicz. — Jeżeli ktoś nie czuje swojego fachu w rękach, a zamiłowanie do pracy nie wypływa z głębi serca, to żadna szkoła tu nie pomoże. W szkole można tylko doszlifować naturalny dar, odrobinę iskry Bożej, która musi tkwić w człowieku od początku.

Fot. Autor



Ten *leiter* — duży bęben garbarski — w latach 70. wykonał znakomity miejscowy stolarz, Jan Mincewicz (ojciec autora). Aby go zainstalować w warsztacie, trzeba było burzyć ścianę



Oczyszczone skóry poddaje się zabiegowi mizdrowania — na specjalnej szlifierce usuwa się mizdrę. Ten zabieg ma na celu nadanie skórze estetycznego wyglądu i miękkości

Skóra była pierwszym materiałem używanym przez człowieka do ochrony ciała przed chłodem, obrażeniami fizycznymi, do wyrobu naczyń, uprzęży i innych przedmiotów użytkowych. Niedoskonałość tego materiału — sztywność i łamliwość w stanie suchym oraz łatwość ulegania procesom gnilnym w warunkach dużej wilgotności — zmusiły już człowieka pierwotnego do szukania sposobów, aby skórę uczynić trwałą i elastyczną. Już pod koniec epoki lodowcowej stosowano prymitywne sposoby garbowania skór, poprzez wygniatanie ich z tłuszczem zwierzęcym. Sposoby te, nieznacznie udoskonalone, stosują do dziś Eskimosi i niektóre plemiona Indian w Ameryce Południowej. Pierwowzorem dzisiejszej metody garbowania za pomocą aldehydów i fenoli było rozpowszechnione w czasach prehistorycznych wędzenie skór w dymie. Już kilka tysięcy lat przed naszą erą było znane garbowanie skór wyciągami z liścia i kory drzewnej, solami glinu i popiołem.

Za ojca nowoczesnej technologii garbowania skór uważa się H. Proctera z Anglii, zaś podstawy naukowe chemii garbników syntetycznych stworzył E. Stiasney.

Jerzy Sulżyk

Słoneczne Uszeście

Z czego słynie Mielnik? Z kredy, bogatej historii, pięknego nadbużańskiego krajobrazu. I tyle? Aż tyle, zważywszy, że wszystko to jest najwyższej próby. Złoża kredy — jedne z najbogatszych w kraju. Historia — sięgająca szczytem Góry Zamkowej najważniejszych wydarzeń średniowiecza. Krajobraz — godzien sloganu „zobaczyć i umrzeć" (nie bez powodu włączony w skład Obszaru Chronionego Krajobrazu „Dolina Bugu"). Te trzy walory tworzą wizerunek Mielnika. Pora wszakże obraz ten poszerzyć (a właściwie podwyższyć), dodając rzecz czwartą. Też najwyższej próby.

Wchodząc (a właściwie wspinając się) z położonego w dolinie Bugu Mielnika na północny wschód wybrukowaną drogą, po której ciężkie, wyładowane wydobytą właśnie z pobliskiej kopalni kredą wywrotki wloką się jak żółwie, podnosimy głowę i spoglądamy w lewo na strome zbocza Góry Uszeście. W części odkryte, w części porośnięte lasem, wystawiają swoje oblicze ku słońcu. A ono nie żałuje im ciepła. W tej prostej konsekwencji tkwi geniusz natury. I miłe zaskoczenie.

Gdy jeszcze w latach 50. profesor F. Celiński badał florę okolic Mielnika, dokonał ciekawego odkrycia. Okazało się, że na najwyższych wzniesieniach, między innymi na Usześciu i Górze Zamkowej, odnaleźć można gatunki roślin, których naturalny zasięg obejmuje obszary wyżynne i górzyste. Dlaczego wyrosły więc w okolicy Mielnika, na obszarze typowo nizinnym? Rozwiązanie zagadki jest proste, wymaga jednak kilku zdań wyjaśnienia.

Z pewnym uproszczeniem można powiedzieć, że określone gatunki roślin tam się zadomowiają, gdzie istnieją ku temu odpowiednie warunki (klimat, podłoże, ukształtowanie terenu i in.). Jedne wolą tereny podmokłe i cieniste, inne suche i nasłonecznione. Niektóre wybierają nisko położone łąki, a inne wysokie zbocza gór i wyżyn. Takie „wybory" powodują, że można ustalić tzw. zasięg występowania określonych gatunków roślin. Zdarza się wszakże, że rośliny potrafią „zawędrować" bardzo daleko poza obszar swego typowego siedliska i zadomowić się w zupełnie zaskakującym miejscu. Pod warunkiem jednakże, że znajdą tam odpowiednie warunki do rozwoju. Nie jest to zjawisko bardzo powszechne i z tego choćby względu zasługuje na uwagę. Czasem do tego stopnia, że tworzy się rezerwaty. Tak jest właśnie z rezerwatem Góra Uszeście w Mielniku.

Góra Uszeście wznosi się na wysokość 204 m n.p.m. i jest najwyższa w okolicy (jest to tzw. Duże Uszeście; w tym samym masywie znajduje się szczyt o nazwie Małe Uszeście — 174 m n.p.m.). Jej budowa geologiczna — występowanie skał kredowych niemal na powierzchni — przypomina warunki panujące na obszarach wapiennych wyżyn. Gleby na Usześciu są bardzo suche, korzystają bowiem tylko z wód opadowych, których jest tu niewiele. Powoduje to szybkie ich nagrzewanie się, tak że na stokach południowych w miejscach odsłoniętych przy słonecznej pogodzie temperatura powierzchni gleby przekracza latem niekiedy i 70 stopni Celsjusza! Jak na te okolice są to warunki bardzo nietypowe, stąd też i szata roślinna występująca na Usześciu odbiega znacznie od nizinnego standardu.

300 gatunków

— W 1993 roku dokończyliśmy inwentaryzację Usześcia — mówi Wojciech Adamowski z Białowieskiej Stacji Geobotanicznej Uniwersytetu Warszawskiego, który sprawuje naukowy nadzór nad rezerwatem. — Na obszarze 12,08 hektara, bo tyle liczy rezerwat, znaleźliśmy około 300 gatunków roślin. Żadne inne stanowiska muraw w północno-wschodniej Polsce nie mają takiego bogactwa flory. Murawy z roślinami ciepłolubnymi, czyli tzw. kserotermicznymi, dosyć pospolite w południowej części kraju, idąc ku północy są coraz rzadsze.

Spotkać je można tylko w wybranych miejscach, wysokich, dobrze nasłonecznionych (skarpy rzeczne ze zboczami wystawionymi na południe, odsłonięte zbocza wzgórz), na określonych glebach. W Polsce niżowej najbogatsze skupiska roślinności ciepłolubnej rozwinęły się na krawędziach dolin dolnej Odry i Wisły oraz w dolinie tzw. Podlaskiego Przełomu Bugu. To właśnie na tym ostatnim obszarze wyjątkowo ciekawa jest Góra Uszeście.

Dom w rezerwacie

Wprawdzie już w latach 50. profesor Celiński badał i zachwycał się roślinnością Usześcia, dopiero jednak w 1985 roku podjęto decyzję o utworzeniu tu rezerwatu. Trudno ustalić przebieg procesu jego powstawania, faktem jednak jest, że tak duża zwłoka spowodowana była m.in. bardzo skomplikowanymi stosunkami własnościowymi — poszczególne, niewielkie części Usześcia miały różnych właścicieli i uporządkowanie związanych z tym formalności było bardzo trudne. Do niedawna jeszcze, zanim powstał rezerwat, znajdujące się tu grunty były użytkowane, co — zdaniem uczonych — znacznie przyczyniło się do obniżenia walorów przyrodniczych tego obiektu.

— Bezpośrednie sąsiedztwo ludzi, pól i budynków na pewno nie pomaga rezerwatowi — martwi się Wojciech Adamowski. — Wychodzą z tego czasem bardzo nieprzyjemne sytuacje.

Jedna ze szkód spowodowana przez człowieka jest bardzo spektakularna. Okazało się, że wzniesiony przez mieszkańca Mielnika budynek jedną trzecią swojej powierzchni stoi na terenie rezerwatu. Zrobiono to bezprawnie, „na dziko". Najgorsze jednak, zdaniem biologa, jest to, że zostało podkopane i podcięte zbocze Małego Usześcia. Teren rozgrzebano, a dzieci urządziły tam sobie piaskownicę. Wcześniej przestawiono tablice oznakowujące rezerwat.

— Niestety, akurat na tym obszarze jest największe nagromadzenie najcenniejszych roślin kserotermicznych — dodaje mój rozmówca. — Kury chodzą. A wiadomo, że kura jest stworzeniem grzebiącym i może robić regularne szkody. Jeśli taka kura zasmakuje akurat w jakiejś roślinie, może ją po prostu wygrzebać i zjeść do szczętu. To pociąga za sobą dalsze konsekwencje, np. erozję gleby.

Jest pewien paradoks w tej sytuacji. Na naszych terenach występowanie roślinności kserotermicznej jest skutkiem działalności człowieka. Gdy wycinano lasy, prowadzono stale wypas zwierząt, powstawały warunki (poprzez odsłonięcie terenu) do rozwoju tej roślinności. Bug był naturalną arterią, którą wędrowała ona już od średniowiecza z rejonów powszechnego występowania, np. znad Morza Czarnego. Dzisiejsze zmiany w gospodarowaniu powodują, że ponownie

na obszary te w naturalny sposób wkracza las, który zarasta m.in. zbocza Usześcia. Osłania w ten sposób glebę i małe rośliny kserotermiczne po prostu giną. A więc ta sama gospodarka człowieka, która dawniej umożliwiła im rozwój, dzisiaj przyczynia się do ich zanikania. I tu właśnie przychodzi z pomocą szeroko rozumiana ochrona przyrody — nabiera znaczenia fakt tworzenia rezerwatów.

Góra Uszeście ma więc zachować to, co stworzyła natura „gospodarując" razem z człowiekiem — ukształtowane przez wiele lat bardzo bogate i interesujące środowisko. Wymaga to jednak czynnej ochrony. W obiegowym rozumieniu rezerwat funkcjonuje jako coś zupełnie oderwanego od człowieka, gdzie rządzi tylko sama czysta natura i gdzie najlepiej byłoby w ogóle nie wchodzić, a jeśli już, to „nie oddychać", żeby czegoś nie popsuć.

— To duże uproszczenie — mówi Wojciech Adamowski. — Są układy, jak ten na Usześciu, które wymagają ochrony czynnej — ingerencji człowieka, żeby w ogóle mogły się zachować.

Bez pielęgnacji, wycinania zarośli i niektórych drzew, najcenniejsze gatunki roślin w naturalny sposób by wyginęły. Dlatego ostatniej zimy prowadzono takie prace. Dzięki nim słońce znów będzie mogło rozgrzewać zbocza Usześcia, a ciepłolubne rośliny „umocnią się". Wycinając drzewa (głównie sosny) pozostawiono stare, 150-letnie egzemplarze. Niskie, o pokręconych konarach, sosny dodają uroku temu niezwykłemu miejscu.

Turystyka

Przez środek rezerwatu biegnie ścieżka, przecinająca go w kierunku północ — południe. Można nią dojść na sam szczyt Usześcia. To po niej właśnie trzeba przejść, żeby zobaczyć najciekawsze fragmenty rezerwatu.

— Zeszłego lata robiłem kontrolę Usześcia — opowiada Wojciech Adamowski. — Chciałem sprawdzić, co tam w trawie piszczy. Spotkałem spacerującą parę. O coś mnie zapytali, potem przeprowadziłem ich właściwą ścieżką. Zdawali się być zainteresowani.

Pan Wojciech twierdzi, że nie jest najlepiej z umiejętnością zwiedzania tego rezerwatu, bo ma on swoją specyfikę.

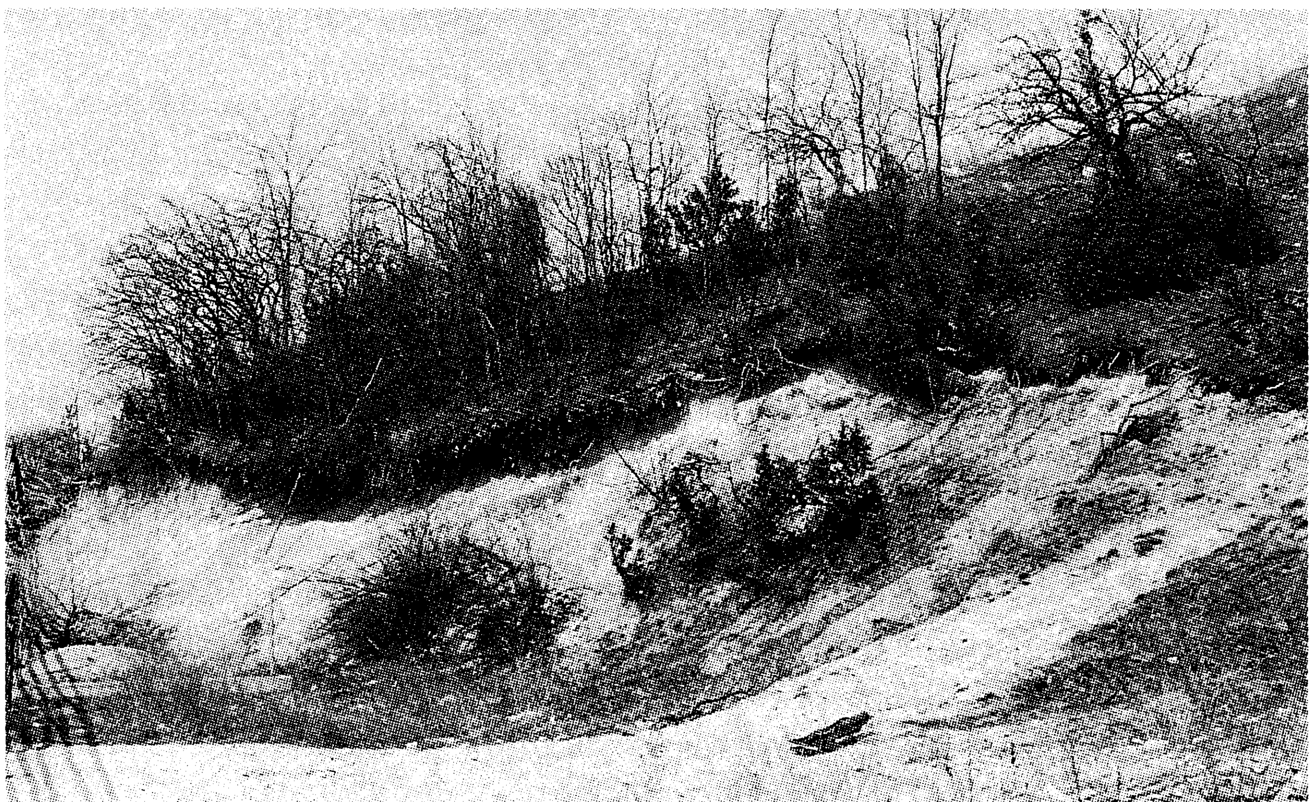
— Uszeście widzę jako miejsce dla turysty bardziej zainteresowanego przyrodą — mówi. — Masowe zwiedzanie nie ma tu raczej większego sensu. Bardziej pasuje do tego chyba Góra Zamkowa. Chociaż...

Dla osób, które wykazują wrażliwość na krajobraz, Uszeście jest niewątpliwie pięknym obiektem. Szczególnie w końcu czerwca i w lipcu, kiedy murawy osiągają pełnię rozwoju. Jest bardzo kolorowo. Tam, gdzie panuje takie bogactwo roślin, pojawiają się piękne i ciekawe owady. Na razie jednak nikt ich jeszcze nie badał i nie opisywał. Zimą Uszeście nie ma wiele do zaoferowania przeciętnemu turyście. Chyba że, tak jak pewien urzędnik kontrolujący rezultaty prowadzonych na górze prac, chce on dokonać efektownego ślizgu po stromym zboczu.

Jak każde nieprzeciętne miejsce, tak i Uszeście również jest magnesem przyciągającym turystów. W tym sensie może odgrywać też pewną rolę w rozwoju samej gminy Mielnik i w tworzeniu jej wizerunku na zewnątrz. Jak się wydaje, władzom gminy zależy na tym, by ich nadbużańskie włości stały się miejscem atrakcyjnym turystycznie. Jakby na potwierdzenie tego, z inicjatywy samych mielnickich samorządowców w maju 1994 roku doszło do utworzenia Zespołu Przyrodniczo-Krajobrazowego „Głogi" o powierzchni 59,61 ha, położonego koło Mielnika. Jest to pierwszy w województwie tego rodzaju obszar chroniony.

Choć rezerwat Góra Uszeście istnieje już 13 lat, nie doczekał się jak dotychczas żadnego ogólnie dostępnego folderu ze zdjęciami i krótkim, przystępnie zrobionym opisem. Takie wydawnictwo na pewno przyczyniłoby się do wzrostu zainteresowania rezerwatem i jego osobliwościami. Na razie a propos wydawnictw usłyszałem od pana Wojciecha Adamowskiego taką oto opowieść: — Uśmiałem się — mówił — gdy zobaczyłem zdjęcie, jakie zostało zrobione Usześciu do takiego małego przewodniczka „Podlasie Nadbużańskie". Widać było na nim głównie młode sosenki, które akurat przy pielęgnacji rezerwatu na pierwszy rzut poszły pod siekierę. Pod zdjęciem był napis w stylu: „Rezerwat Góra Uszeście znakomicie chroni roślinność kserotermiczną".

Fot. A. Kołos


Podcięte zbocze Małego Usześcia — efekt działalności człowieka


Małe Uszeście po pielęgnacji. Dzięki niej ciepłolubne rośliny „umocnią" się w rezerwacie

Piotr Bajko

Dawni białowieżanie

Pierwsi mieszkańcy Białowieży wywodzili się niewątpliwie z osadników ruskich, którzy — po spustoszeniu ziem nad Narwią w wyniku najazdów jaćwieskich i litewskich — dotarli do południowo-wschodnich granic Puszczy Białowieskiej już w XV wieku i w dwóch kolejnych stuleciach zdominowali jej obrzeża. „Ordynacja Puszczy" z 1639 r. wymienia ponad dwustu osoczników o typowo ruskich imionach. W tym samym dokumencie znajdujemy nazwisko pierwszego znanego mieszkańca Białowieży — Iwana Hrycewicza, dzierżawcy młyna na rzece Narewce.

Osadnictwo mazowieckie, które w końcu XIV i na początku XV wieku oparło się o zachodnie krańce puszczy, poczęło penetrować jej wnętrze dopiero w drugiej połowie XVIII wieku (wsie Pogorzelce i Teremiski oraz znacznie później założone Budy).

Bliższe, choć jeszcze dość skąpe, informacje o tutejszych mieszkańcach znajdujemy dopiero w materiałach i opracowaniach z początku XIX wieku. Baron J. Brinken w 1826 r. wprawdzie jeszcze nie potrafił określić narodowości białowieżan, ale komentujący jego dzieło „Memoire descriptif sur la foret imperiale de Białowieża en Lithauen" redaktor „Dziennika Warszawskiego" (1826 r., t. IV, s. 85), dziwiąc się niewiedzy autora, wyjaśnia, że „są to Rusini w znaczney części Litwy zamieszkali, ci sami co w dzisieyszey Galicyi, na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, Małey Rossyi, Białej Rusi. Ich język iest Ruski".

Pisząc o wierze białowieżan, Brinken stwierdza, iż wyznają oni „religię grecko-unicką". Zatem przodkowie ówczesnych mieszkańców musieli być prawosławnymi.

Tę samą narodowość i wyznanie potwierdza w 1830 r. P. F. Jarocki oraz w 1836 r. pismo „Przyjaciel Ludu" (Nr 47, s. 370). Zmianę wyznania odnotowuje po raz pierwszy w 1863 r. P. Bobrowski. Podaje on, iż wszyscy mieszkańcy Białowieży są prawosławni. Oczywiście jest to wynik likwidacji w 1839 r. w Cesarstwie Rosyjskim unii brzeskiej.

Charakteryzując ludność puszczańską w 1882 r. Zygmunt Gloger zauważa: „Lud ten (...) jest dziś płodem całkowicie pomieszanej krwi: Lechickiej, Litewskiej, dawnych Krywiczan, Dregowiczan, Drewlan, Dulebów itd. (...) mówiący djalektem podlasko-poleskim różniącym się od mowy białoruskiej, ukraińskiej i czerwonoruskiej".

Bardziej jednoznaczny obraz przedstawia siedem lat później F. Gliński. Stwierdza on, iż mieszkańcy wsi Białowieża i dwudziestu czterech innych położonych w centrum puszczy lub też na jej obrzeżu, są niemal wszyscy Białorusinami.

W 1903 r. G. Karcow stwierdza, że 75 proc. mieszkańców Puszczy Białowieskiej to prawosławni, zaś 12 proc. katolicy. Resztę stanowili wyznawcy judaizmu.

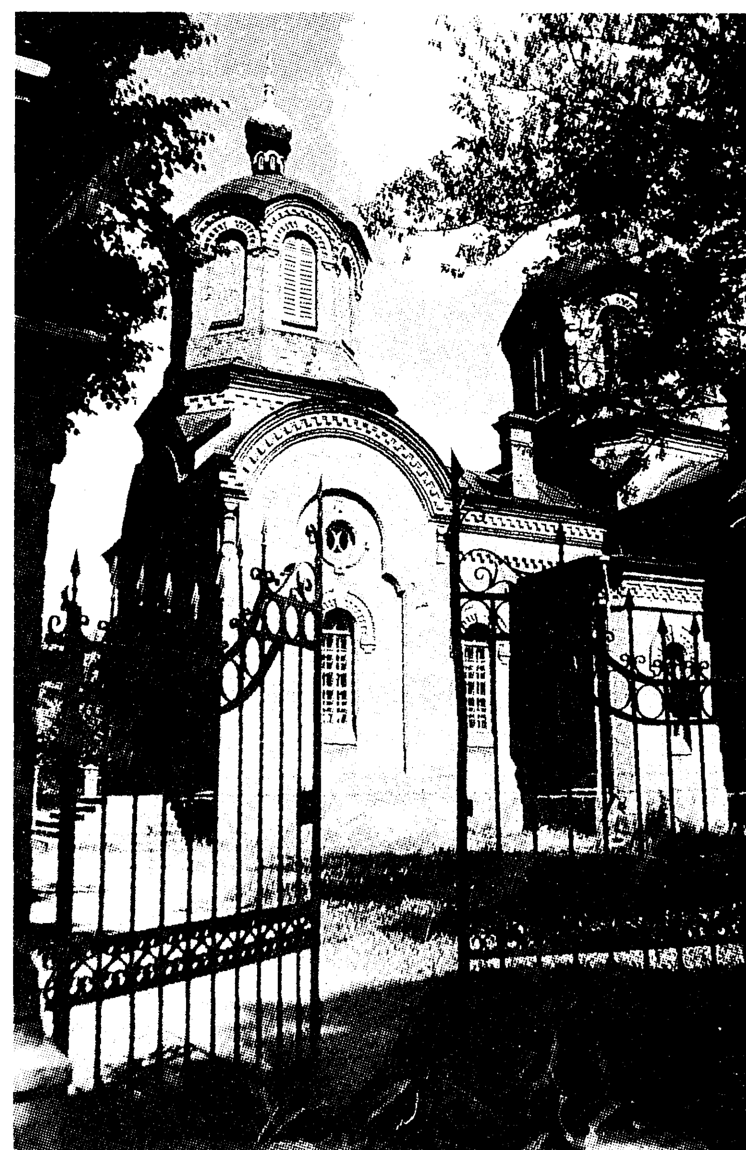
Z powyższego należy wnioskować, że w omawianym okresie mieszkańcami Białowieży byli w zdecydowanej większości Rusini, których od drugiej połowy XIX wieku poczęto nazywać Białorusinami. Pewną część stanowili Polacy (być może już od założenia osady, zaś z całą pewnością od drugiej połowy XVIII wieku) i Żydzi (od połowy XIX wieku). Za czasów saskich i carskich osiedlali się tu również pojedynczy Niemcy. Nie można też pominąć grupy Rosjan, przybyłej na te tereny po powstaniu 1831 roku. Zarówno Żydzi, Niemcy jak i Rosjanie z czasem ulegli żywiołowi białoruskiemu, przyjmując za swój miejscowy dialekt języka białoruskiego.

W pierwszym okresie istnienia osady mieszkańcy byli wyłącznie funkcjonariuszami służb łowieckich i młynarzami. W końcu XVII wieku dołączają do nich rybacy, cieśle, bartnicy i chłopi.

Wygląd, ubiór i cechy charakterystyczne mieszkańców Białowieży jako pierwszy opisał Brinken w 1826 roku. Według niego byli to ludzie mocni, dobrze znoszący ostry klimat. Najwięcej czasu spędzający w lesie, gdzie zbierali owoce, miód i przygotowywali paszę dla bydła, mniej zaś interesujący się pracą na roli. O każdej porze roku białowieżanie nosili ten sam ubiór — krótki, z grubego sukna barwy brunatnej, ściągnięty szerokim rzemiennym pasem. Na nogach mieli łapcie z łyka. Byli zdolni do wszelkich prac w lesie oraz łowiectwa. Z nich też rekrutowali się strzelcy i strażnicy. Przy tym Brinken nie odmówił sobie poczynienia uwagi, iż są oni „równie dzicy, jak otaczająca ich puszcza".

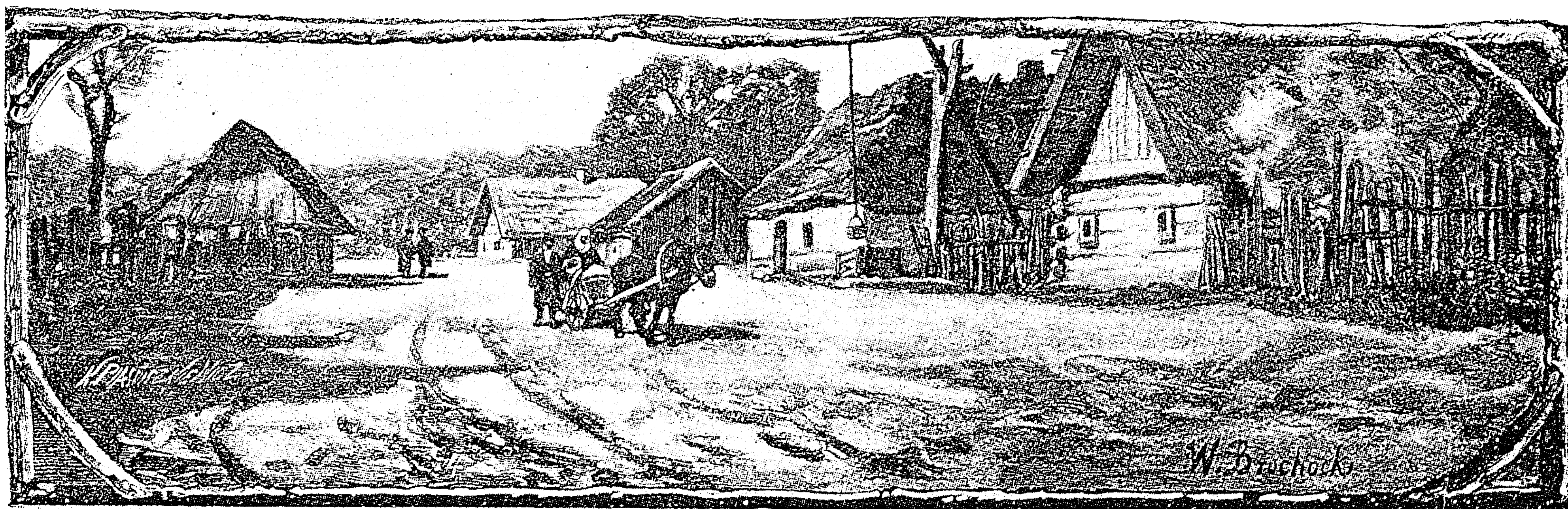
O strzelcach i osocznikach z Białowieży w 1830 r. Jarocki napisze: „(...) wzrost ich zwykle dobry i kształtny, a twarze czerstwe i wesołe noszą piętno dobrego bytu i swobody; a lubo dla swey zwierzchności okazują największą powolność i rączość w wykonywaniu rozkazów; nie znać jednakże w ich postępowaniu tey niewolniczey lękliwości i spodlenia, jakie się na chłopach innych tamteyszych okolic widzieć dają. Dla obcych osób (...) w nich wiele uprzeymości i usłużności obok niewymuszoney chęci przypodobania się. W rozmowach (...) wykazują wiele rozwagi, zdrowego rozsądku i przenikłości: niektórzy nawet odznaczali się w pewnym względzie satyrycznym dowcipem (...). Najwięcej podoba się w tych ludziech to, że grzeczność, którą się im zrobi, przyymują z tak naturalnym przymileniem, jakiego ledwie po tych wieśniakach spodziewać się można, którzy nayblizey stolicy mieszkają".

Opis chłopa puszczańskiego po wizycie w Białowieży w 1882 r. sporządza także Henryk Sienkiewicz. Według niego są to ludzie „wysokiego wzrostu,



Cerkiew w Białowieży

Fot. W. Zawadzki



Wieś Białowieża w końcu XIX w. wg. szkicu W. Brochockiego („Wędrowiec", Nr 40/1897)

szczupli, niemal chudzi. Uderza w nich nadzwyczaj delikatna cera, jakiej nigdzie się nie dostrzega (miało na to wpływ częste przebywanie w cieniu drzew). Prawie wszyscy mieli włosy ciemnoblond oraz wielkie, zamyślone niebieskie oczy. Twarze o rysach bardzo drobnych, ładne, sympatyczne, ale i o nieco posępnym wyglądzie — jak to bywa u ludzi, którzy większość życia spędzają w samotności".

B. Łaszczyński w 1883 r. o ubiorze chłopów napisze: „zwykły ubiór mężczyzn składa się z czarnej wełny domorodnej robionej, siermięgi i z łapci, czyli chodaków z lipowej kory na nogach (...). Oprócz starożytnej siermięgi wielu z nich już robi sobie jakieś kurty z szarej, często w czarne pręgi, wełny".

Nieco inny opis białowieskiego chłopa pozostawił nam Karcow. Uważa on, że ich ubrania nie różnią się od noszonych w całej guberni grodzieńskiej. Charakterystycznym elementem stroju jest jedynie czapka z daszkiem i aksamitną obszywką oraz łapcie, w których chłopi chodzą przez okrągły rok. Białowieżanie byli dobrzy, nie mściwi. Każdą nieprzyjemną sprawę starali się zakończyć polubownie. Wykazywali pracowitość, ale do ciężkich robót się nie nadawali.

Wygląd zewnętrzny typowego mieszkańca puszczy — zdaniem Karcowa — był nieciekawy, a nawet odpychający: średniego wzrostu, zawsze białolicy, z szarymi oczyma, bolejącym i tępym, a nawet głupkowatym wyrazem twarzy. Ładnych, czy nawet średnio ładnych kobiet Karcow nie spotkał. Mężczyźni i kobiety wyglądali starzej niż to jest w rzeczywistości. Są też słabo rozwinięci umysłowo, we wszystkich działaniach przejawiali chytrość i upartość.

Jak z tego wynika, nie wszyscy widzą i odczuwają jednakowo. Zastanawiające jest również to, że zdecydowanie lepiej oceniali dawnych mieszkańców Białowieży Polacy niż Rosjanin.

■ WYSZPERANE W ARCHIWUM

Imiona własne i cudze

Jednym ze zjawisk zauważalnych w powojennym okresie wśród przedstawicieli społeczności białoruskiej było zmienianie przez nich imion, a nawet nazwisk. Wielu „naszych chłopców" z białostockich wsi, kiedy zaczynali robić partyjno-urzędnicze kariery przykładowo z Bazylich stawali się Wacławami a z Dymitrów Mieczysławami. Wyzbywali się cząstki własnej tożsamości z chęci oderwania się od swych korzeni — dzieciństwa, rodziny i Cerkwi, w której byli ochrzczeni.

Należy sądzić, że przyczyny rezygnacji z imienia „prawosławnego" na korzyść „katolickiego", a także odpowiedzialność za taką praktykę, rozkładają się między osoby zmieniające swoje imiona oraz otoczenie, pod presją którego to następowało. Cały proceder odbywał się najprawdopodobniej w atmosferze wstydu i strachu. W inny sposób wytłumaczyć się tego nie da. Bez silnej presji polskiego otoczenia pewnie tylko jednostki chciałyby mieć do czynienia z administracją państwową i urzędową formalistyką.

Na następnej stronie prezentujemy trzy dokumenty dotyczące osób, które zmieniły imiona. W pierwszym dokumencie — kwestionariuszu osobowym członka PZPR Dymitra Gościka z 1949 r. — widnieje imię „Mieczysław", które zainteresowany używał tylko kilka lat, pełniąc funkcję sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Grajewie i Suwałkach. Po przeniesieniu się do Białegostoku powrócił do imienia Dymitr. Następny dokument dotyczy Bazylego Kalenika, który przybrał obok nowego imienia również inne od rodowego nazwisko. Za prowadzenie praktyki wędrownego zegarmistrza 30 września 1953 r. Bazyli Kalenik został skazany przez białostocką delegaturę Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym na sześć miesięcy obozu pracy. Co ciekawe, podstawą prawną tej decyzji było przedwojenne rozporządzenie Prezydenta RP o zwalczaniu żebractwa i włóczęgostwa z 1927 r. Ostatni dokument to podanie Genadzieja Proszczuka, skierowane 16 stycznia 1964 r. do Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zabrzu, w którym ubiega się on o zmianę swego imienia na „Gerard". Ojciec Genadzieja, Stefan Proszczuk, w podaniu z 5 lutego 1964 r. „poprawił" imię z „Gerarda" na „Zbigniew". Kierownik Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Siemiatyczach, Eugeniusz Lewczuk, na mocy decyzji z 13 sierpnia 1964 r. przychylił się do życzenia ojca. Na uwagę zasługuje bardzo długi okres załatwiania tej sprawy. Można się domyślać, że imię „Gerard" w warunkach Śląska okazało się zbyt niemieckie i dlatego Genadziej Proszczuk otrzymał imię „Zbigniew".

Warto sobie zadać pytanie, dlaczego imiona zmieniali ludzie wykształceni, którzy edukację zdobyli w Polsce międzywojennej (Bazyli Kalenik) i w Białorusi radzieckiej (Dymitr Gościk)? Czy polskie gimnazjum lub radziecka dziesięciolatka dawały Białorusinom na Białostocczyźnie wiedzę o białoruskim narodzie i białoruskiej kulturze? Raczej nie i dlatego te dwa systemy edukacyjne w dużej mierze należy obarczać odpowiedzialnością za późniejsze postępowanie tych ludzi.

Dokumenty znajdują się w Archiwum Państwowym w Białymstoku.

Sławomir Iwaniuk

Dokument nr 1

Kwestionariusz członka Partii

1. Nazwisko — Gościk, imię — Mieczysław, imię ojca — Leon.

2. Data urodzenia — 31 VII 1924, miejsce urodzenia — wieś Bielewicze, gm. Gródek, pow. białostocki.

3. Legitymacja członkowska (stała) PPR Nr 247864 wydana przez Komitet Powiatowy PPR w Białymstoku.

4. Pochodzenie społeczne — chłopskie.

5. Przynależność społeczna — chłop.

6. Wykształcenie — 3 kl. gimnazjum.

7. Zawód wyuczony — pr[acownik] umysłowy.

8. Zawód wykonywany — pr[acownik] umysłowy. Stanowisko w zawodzie — II sekr[etarz] K[omitetu] P[owiatowego PZPR].

9. Stan majątkowy (własny i żony) — nie posiadam.

10. Służba wojskowa (kiedy i gdzie?) — 1944-1946 r. 2 Białoruski Front na terenie Polski i Niemiec, stopień wojskowy — szeregowy.

11. Do jakiej organizacji politycznej i społecznej należał przed wojną? Komsomoł od 1940 do 1941.

12. Do jakiej organizacji należał w czasie okupacji? —

13. Do jakiej organizacji należał po Wyzwoleniu? Komsomoł od 1945 do 1946. Jaką funkcję w niej pełnił — komsorg od X 1945 do VII 1946.

14. Kiedy wstąpił do Partii? 6 IX 1946 w Gródku, koło zbiorowe.

15. Czy ukończył kursy partyjne? Tak. Jakie — wojewódzkie X-XI 1946, centralne IV-XI 1947.

16. Czy był karany partyjnie? —

17. Jakie funkcje z wyboru pełni w organizacjach społecznych samorządowych i innych? Wiceprzewodniczący M[iejskiej] R[ady] N[arodowej].

18. Czy podlegał represjom za działalność polityczną przed 1939 r.? —

19. Czy podlegał represjom ze strony okupanta? —

Grajewo, dnia 24 I 1949 r.

Dokument nr 2

Wniosek o rozpoznanie sprawy w trybie postępowania Komisji Specjalnej w sprawie p[rzeciw]ko Wacławowi-Bazylowi Szyszko, s. Jerzego Kalenika i Anny z d[omu] Olechnowicz, ur. 9 V 1903 r. w Białymstoku, pochodzenia społecznego robotniczego, przynależności społecznej inteligencja pracująca, obywatelowi polskiemu, narodowości białoruskiej, posiadającemu wykształcenie średnie, żonatemu, ojcu 2 dzieci w wieku 12 i 17 lat, bez majątku, karanemu (tymczasowo aresztowanemu od dnia 20 czerwca 1953 r.) o to, że w okresie czasu od roku 1951 do dnia 21 marca 1953 r. nie posiadając środków trwałego utrzymania, a będąc zdolnym do pracy [z]mieniał stale miejsce swego pobytu na terenie województwa białostockiego nie w celu znalezienia pracy tj. o przestępstwo z art. 13 Ustawy z dnia 14 X 1927 r.

Uzasadnienie

Wacław Szyszko po powrocie z Anglii do Polski w 1947 r. pracował do dn. 4 VIII 1951 r. na stanowisku kierownika Sekcji Finansowej w Urzędzie Branżowym Różnej Wytwórczości, po czym został zwolniony, od tej pory Wacław Szyszko do pracy w ogóle nie przystąpił, a przebywał na terenie województwa białostockiego w różnych miejscowościach, jak: Narewka, Bielsk Podlaski, Kotły, Treszczotki, Pilipki, Lady, Łoknica, Czyże, Zbucz i innych.

Wacław Szyszko został zatrzymany w Eliaszukach, gm. Narewka, dn. 18 III 1953 r. przez organa M[ilicji] O[bywatelskiej].

Przesłuchany w charakterze podejrzanego wyjaśnił, że stałego miejsca zamieszkania nie posiada dlatego, że nie może nigdzie zaleźć dla siebie odpowiedniej pracy.

Podprokurator
Br. Bernas

Dokument nr 3

Podanie

Ja Proszczuk Genadziej urodzony 2 XI 1946 r. w Wólce n[ad] Bugiem, zamieszkały w Zabrzu, zwracam się z prośbą o zmianę mego imienia z Genadziej na Gerard, ponieważ imię Genadziej jest trudne w wymowie jak i w pisaniu oraz trudne do zrozumienia, a imię Gerard jest proste i mi się podoba.

Jeszcze raz uprzejmie proszę o pozytywne załatwienie mej prośby.

Proszczuk Genadziej



Fot. W. Zawadzki

Jan Żamojcin

Pamięć Ziemi

II. W otchłani gułagu

Jesienią 1950 roku Weronikę z niemowlęciem nieoczekiwanie przewieziono do nie znanego jej budynku w Mińsku. Niedługo potem okazało się, że w okazałym gmachu odbywają się posiedzenia sądu wojskowego. W dużej sali za stołem siedział zespół sędziowski w całej okazałości: trzej wyżsi oficerowie obwieszeni medalami i szerokimi złotymi naramiennikami o posępnych spojrzeniach. Obok nich prokurator, również oficer, w towarzystwie osobnika w cywilnym ubraniu.

Ochłonąwszy z chwilowego przerażenia dziewczyna dostrzegła na ławie oskarżonych znaną jej, wynędzniałą i bladą postać działacza młodzieżowego, Janka. Posadzona na ławie dla publiczności w końcu zrozumiała, że nie występuje tu w roli oskarżonej. Jej udział w rozprawie miał się ograniczyć do potwierdzenia tożsamości kolegi. Po procedurze wstępnej cywil, który miał odegrać rolę obrońcy, opuścił salę, ponieważ oskarżony oświadczył, że rezygnuje z jego usług. Zrezygnował, ponieważ po raz pierwszy zobaczył go właśnie w tym dniu na sali rozpraw...

Z odczytanego aktu oskarżenia wynikało, że „przestępstwem" popełnionym przez Janka była działalność w konspiracyjnej białoruskiej organizacji niepodległościowej w okresie okupacji niemieckiej na Białorusi. Oskarżenie sugerowało, że było

to ciężkie przestępstwo, które „groziło oderwaniem Białorusi od ZSRR i utworzeniem niezależnego państwa białoruskiego". Prokurator wygłosił napastliwą, urozmaiconą niewybrednymi inwektywami mowę. Na koniec zażądał dla oskarżonego najwyższego wymiaru kary sowieckiego aparatu sprawiedliwości — kary śmierci.

Sąd ogłosił przerwę. Obecni na sali żołnierze wyprowadzili chłopca do aresztu. Przechodząc obok jedynej na sali życzliwej mu osoby, skierował w jej stronę pełne rezygnacji spojrzenie, nieudolnie maskowane grymasem przyjacielskiego uśmiechu.

Zwrócona niby wypożyczony przedmiot nadzorowi więziennemu, Weronika długo nie mogła otrząsnąć się z doznanych podczas tej ponurej wyprawy przeżyć. Nie wiedziała, co czekało jej przyjaciela. Trwała w rozterce również w chwilach codziennych modlitw; nie wiedziała, o co ma prosić Najwyższego dla Janka: o siłę do przetrwania okresu niewoli, czy może błagać o wieczny pokój duszy skazanego.

W więzieniu przy ul. Wołodarskiej, w odróżnieniu od „amerykanki", można było nie tylko rozmawiać, ale nawet śpiewać, również podczas spacerów po dziedzińcu.

Kilkanaście dni po pobycie w sądzie do uszu Weroniki dobiegła znana melodia piosenki „Raścwitali u poli wasiloczki". W tym momencie coś ją tknęło. Przy pomocy współwięźniarek w mgnieniu oka wdrapała się do okna od strony boksów spacerowych. Chłonęła każde słowo śpiewanej spokojnie pieśni, wsłuchiwała się w barwę głosu. Z nadzieją przyglądała się sylwetkom spacerujących więźniów, w nadziei, że dostrzeże znajomą osobę.

— Tak, to on! Bez wątpienia, to Janek! On żyje! — krzyczała do zdezorientowanych współwięźniarek. Oszołomiona odkryciem uściskała po kolei wszystkie towarzyszki niedoli, którym udzieliła się jej spontaniczna radość. Dziewczyny poddały się emocjom i w celi zapanowała atmosfera podniecenia, tak jakby ktoś darował im właśnie życie lub ofiarował wolność. Takie już są te białoruskie dziewczęta, a może i wszystkie białogłowy tego świata...

Zasypywana pytaniami Wera opowiedziała o znajomości z Jankiem, zaspokoiła ich ciekawość, wysłuchała uwag.

Po jakimś czasie zakradła się wątpliwość: a może to pomyłka? Żeby się upewnić natychmiast uruchomiono więzienne środki komunikacji. „Telegrafem" wysłano przez ścianę pytanie, czy Janek żyje. Niezależnie od tego dziewczyny rozmawiały za pomocą kubków z więźniami z sąsiednich cel. Wici na inne piętra wysyłano za pomocą grypsów na niedostrzegalnych gołym okiem niteczkach. Więzienne środki porozumiewania się okazały się niezawodne. Już następnego dnia dziewczyna otrzymała wiadomość: „Janek pozdrawia, dostał szpulę, czeka na etap", co oznaczało, że skazano go na 25 lat, a teraz czeka na transport do łagru.

Weronika i jej synek nie siedzieli długo w tym więzieniu. Wkrótce czekała ich wysyłka na zesłanie. Podróż odbywała się etapami, od więzienia do więzienia, które nazywano „przesyłkami". Było ich aż siedem: w Moskwie, Gorkich, Arzamasie, Świerdłowsku, Pietropawłowsku, Karagandzie, Karabasie. Ta etapowa męczarnia zakończyła się po czterech miesiącach w obozie żeńskim Kingira w Kazachstanie.

W Mińsku załadowano więźniów do podzielonych na trzy kondygnacje wagonów towarowych. W rogu podłogi wagonu był prymitywny otwór do załatwiania potrzeb fizjologicznych, a pośrodku stał metalowy piecyk, zwany burżujką, do którego ciągle brakowało opału.

Z powodu zimna najbardziej dokuczliwa była podróż na dolnej kondygnacji. Niewiele lżejsze warunki panowały na górnej półce, narażonej na chłód od dachu wagonu. Więźniarki solidarnie zamieniały się miejscami, dzieląc w ten sposób niewygody po równo. Matce z niemowlęciem wygospodarowano stałe miejsce na średniej półce, najmniej narażonej na dokuczliwe zimno. Nie były to oczywiście warunki komfortowe. Szczególną niewygodą tego miejsca była niewielka przestrzeń oddzielająca ją od górnego legowiska. Podróż z dzieckiem w pozycji leżącej, jedynie z możliwością oparcia się na jednym łokciu, była istną męczarnią.

Na podróż każdy więzień otrzymywał kawałek chleba i suszoną słoną rybę. Wodę w wiadrach podawano dwa razy na dobę. Nazywano ją wrzątkiem, chociaż była ledwo ciepła. Najczęściej jednak podawano zimną wodę bezpośrednio z hydrantu na którejś ze stacji.

Weronika opuściła więzienie w niezłej kondycji. Dzięki temu miała wystarczającą ilość pokarmu dla dziecka. Synek, jako podróżujący bez wyroku, nie miał prawa do przydziału produktów żywnościowych. Chłopak był zdrowy i radosny, co znacznie poprawiało samopoczucie matki.

W Moskwie zapędzono ich do więzienia zwanego Butyrką. Cele były ciasno nabite więźniami. Stojący w kącie klozet przepełniał się po kilkunastu minutach. Domaganie się jego opróżnienia nie dało rezultatu. Cuchnąca ciecz płynęła po posadzce. „Klawisze" zareagowali dopiero, gdy fekalia dotarły do dyżurki. Pobyt w tej cuchnącej norze na szczęście nie trwał długo.

W następnym więzieniu, w Gorkich, zaprowadzono ich do łaźni, a ubranie zdezynfekowano. W jej wyniku nasza bohaterka otrzymała swoją futrzaną kurtkę skurczoną do tego stopnia, że była niemal nieużyteczna. W łaźni, obarczona dzieckiem, nie była w stanie wygrać walki o naczynie na ciepłą wodę i musiała korzystać z prysznica z zimną wodą. Na domiar złego po tej kąpieli Sławek ciężko zachorował. Z trudem udało się go wykurować.

Więzienie w Świerdłowsku było pełne prusaków, które przenikały w każdą szparę. Tutaj Weronika poczuła się bardzo źle. Szczęśliwym trafem spotkała się z niezapomnianym odruchem człowieczeństwa. Widząc w jakim jest stanie, dwie starsze Białorusinki z sąsiedniej grupy więźniów dały jej kilkanaście żytnich sucharów, które uchroniły dziewczynę od zupełnego wycieńczenia.

W Świerdłowsku zaczęła się segregacja niewolników i wciskanie ich „kupcom" — delegatom z poszczególnych obozów pracy. Matki z dzieckiem nikt nie chciał. Przewożono ją od obozu do obozu. Ostatecznie zatrzymała się w męskim obozie pracy w Karabachu. Ulokowano ją w drewnianym baraku, wyposażonym w drewniane nary do spania bez pościeli.

Nawet w takich warunkach można było jednak doświadczyć ludzkiej życzliwości. Japońscy więźniowie z obsługi obozowej przemycali pożywienie dla Sławka i chleb dla jego mamy. Przeciwieństwem tych humanitarnych odruchów niewolników była arogancja i chamstwo nadzoru obozowego.

Po kilku dniach w baraku pojawił się oficer KGB, który rozkazał natychmiast przygotowywać się do dalszej drogi. Dziewczyna naprędce spakowała rzeczy osobiste do walizeczki, owinęła dziecko w kołdrę i pełna nadziei na rychłe zakończenie męczarni wyszła z baraku. Oficer w asyście pięciu żołnierzy pokwitował odbiór więźniarki i skierował ją na wydeptaną ścieżkę przez pagórkowaty step. Na wyślizganej dróżce trudno było utrzymać się na nogach. Obładowana bagażem z dzieckiem na rękach, Weronika często przewracała się, za co zbierała szturchańce i wyzwiska od swych prześla-

dowców. Rozwścieczony oficer groził jej nawet rozstrzelaniem na miejscu.

O zmroku konwój dotarł do stacji kolejowej. Kobietę z dzieckiem wprowadzono do wypełnionego ludźmi, zadymionego pomieszczenia. Wkrótce okazało się, że pociąg, który miał zabrać naszą bohaterkę, odjechał pół godziny wcześniej. Rozwścieczony oficer rozkazał zbierać się w podróż powrotną.

Zmaltretowana do nieprzytomności kobieta, z dzieckiem na ręku, osunęła się na posadzkę pod ścianą. Nie reagowała na wyzwiska ani kopniaki żołdaków. Po jakimś czasie zdeterminowana odezwała się do dowódcy konwoju: „Ja stąd się nie ruszę. A ty możesz mnie tylko zabić, nic więcej mi nie zrobisz". Ośmieleni odwagą dziewczyny więźniowie stanęli w jej obronie, besztając żołdaka za znęcanie się nad półżywą kobietą.

Po chwili oficer i jego podkomendni wyszli z aresztu. Wkrótce dwóch z nich wróciło, zabrało kobietę z dzieckiem i wszyscy wyszli na zewnątrz. Przed budynkiem stały sanie z przerażonym kazachskim woźnicą, który odwiózł Weronikę do obozu. Dopiero po tygodniu dziewczyna wyjechała z tego strasznego miejsca.

Kolejnym miejscem zesłania była Kigira. W tamtejszym obozie koncentracyjnym przebywało 12 tysięcy więźniarek. Gdy matki pracowały, starsze kobiety opiekowały się dziećmi. Sławek, mimo trudów podróży, czuł się dobrze, miał pogodny charater, co zjednało mu życzliwość więźniarek. Odżywiał się niemal wyłącznie mlekiem matki, która nie wiadomo jakim cudem po 10-godzinnej harówce była jeszcze w stanie nakarmić go swoją piersią.

Więźniarki pracowały przy budowie mostu, codziennie po kolana w błocie. Powodowało to pojawianie się częstych stanów zapalnych stawów. Miało to jednak również swoją dobrą stronę. Gdy choroba się przeciągała, więźniarki miały prawo pozostać w baraku.

Rozładunek przenikającego w każdą szczelinę, lepiącego się do ciała i osiadającego na drogach oddechowych wapna, węgla czy cementu był również morderczą pracą. Było to jednak bezpieczniejsze niż rozładunek wagonów z drewnianymi belkami, pod którymi znalazła wieczny odpoczynek niejedna kobieta.

Mimo tych nieludzkich warunków egzystencji, nasza bohaterka nie załamywała się. Osłodą i nadzieją na przetrwanie był zawsze wesoły synek. „Sielanka" skończyła się gdy Sławek ukończył piętnasty miesiąc życia. Zgodnie z przepisami więziennymi tylko do tego wieku więźniarki mogły przebywać ze swoimi dziećmi. W końcu maja 1951 roku Sławka odebrano matce i ulokowano w żłobku poza obozem.

Przyzwyczajone do matczynej piersi dziecko nieustannie płakało. Prośby Weroniki o zezwolenie na odwiedziny nie dawały rezultatu. Dopiero po jedenastu dniach od rozłąki pozwolono jej odwiedzić synka. Zobaczyła półprzytomne, zsiniałe z głodu dziecko. Zrozpaczona matka próbowała je ratować. Było jednak za późno. Sławek nie reagował na jej pieszczoty. Zmarł szóstego czerwca 1951 roku.

Jak na ironię, pochowano go nie na więziennym, lecz na wiejskim cmentarzu. Był przecież „wolnym" człowiekiem. Chodziło o to, by jego śmierć nie zawyżała statystyki śmiertelności w obozie. Matce nie pozwolono na udział w pogrzebie.

Ktoś spoza obozu postawił na mogiłce krzyż z wyrytym imieniem chłopca.

(dokończenie nastąpi)

Pierwszą część wspomnień J. Żamojcina opublikowaliśmy przed dwoma miesiącami.

■ LISTY

Bruksela, 5 kwietnia 1997 r.

Panie Redaktorze!

Przeczytałem Pański artykuł pt. „Mogiła nie na miejscu" („Czasopis" nr 3/97). Jestem bardzo niezadowolony z Pana postawy, podobnie zresztą jak i innych Białorusinów.

Pisze Pan o „żołnierzach „Burego", „oddziale Pogotowia Akcji Specjalnej NZW w sile blisko 150 żołnierzy". W innym miejscu stwierdza Pan: „(...) Porwani wozacy byli mimowolnymi świadkami zbrodni ludobójstwa (...) czternaście osób, w tym kobiety i dzieci, spalono żywcem (...) rosła ilość zrabowanego mienia w mijanych po drodze wsiach".

Zgadzam się, że faktów udowadniać nie trzeba. Z przytoczonych wyżej cytatatów wyraźnie widać bandycko-rabunkowy charakter około 150-osobowej watahy. A Pan nazywa ich „żołnierzami"?! Tego określenia użył Pan dwukrotnie, moim zdaniem — o dwa razy za dużo!

Jak można nazywać „żołnierzem" kogoś, kto morduje dwudziestu dziewięciu niewinnych ludzi, pali żywcem kobiety i dzieci?! Pańscy „żołnierze" po „bohatersku" zachowali się wobec bezbronnych, ale za to w starciu z żołnierzami Armii Czerwonej kilka dni wcześniej pod Hajnówką bardzo szybko pokazali plecy. Czyżby Pan tego nie dostrzegał i nie rozumiał?

Opisał Pan wypadek sprzed pięćdziesięciu lat. Dwudziestu dziewięciu furmanów zostało zamordowanych przez bandę, a Pan przedstawia przepychanki Komitetu Pomordowanych z obecnymi władzami o ekshumację i miejsce pochówku tych ludzi.

Zacznijmy jednak od pomordowanych. To byli mieszkańcy tej ziemi, autochtoni. Jedyną ich „winą" była przynależność do Cerkwi prawosławnej. W tym akcie ludobójstwa jak w soczewce skupia się los prawosławnych mieszkańców tej ziemi na przestrzeni ostatnich 400 lat, poczynając od unii brzeskiej w 1596 roku, a na Zaleszanach, Szpakach, Zaniach i Puchałach Starych kończąc. Czy widzi Pan lepszych bohaterów i męczenników na pomniki?

Przyznam, że nie mogę zrozumieć postępowania Komitetu Rodzin Pomordowanych. Jeżeli oni nie mogą sobie z tym poradzić, to może ktoś powinien im pomóc. Napisał Pan, że jest przychylne nastawienie do tej sprawy władz miejskich Bielska Podlaskiego. A więc dlaczego do tej pory nie ma na cmentarzu wojskowym grobowca lub pomnika pomordowanych?

Panie Kalina, lepszych warunków już nie będziemy mieć nigdy. Jeśli tego nie wykorzystacie, to już nie wiem, jak to nazwać. Z treści artykułu wynika, że czekamy na wydanie postanowienia przez prokuratora. Pytam więc: po co się oglądać? Komu to potrzebne? Tym bardziej że, i to jest moje zdanie, oficjalnego zezwolenia nigdy nie dostaniemy. Naiwnością jest czekanie na taki domument. (...)

Byliśmy na tej ziemi wcześniej niż pojawiła się państwowość polska. Jesteśmy u siebie. Nie rozumiem, dlaczego mamy się oglądać na kogoś, komu to nie w smak.(...)

Reasumując, wydaje mi się, że na razie trzeba przestać o tym pisać. Trzeba za to poszukać dyskretnego fachowca, kamieniarza. Takiego, który szybko, solidnie i bez rozgłosu ustawi pomnik na cmentarzu w ciągu kilku godzin. (...) Gdy stanie pomnik, to zobaczy Pan, że znajdą się również pieniądze na ekshumację, a pan Monkiewicz nie będzie zwlekać z wydaniem postanowienia. Ukraińcy potrafili postawić swoje pomniki i nie pytali nikogo o zgodę. I Ziemia się nie zatrzęsła. A do pisania trzeba wrócić dopiero, gdy pomnik będzie stał na cmentarzu, poświęcony.

Proszę mi wybaczyć jeśli byłem zbyt krytyczny wobec Pana. Serdecznie pozdrawiam.

Nazwisko i adres do wiadomości redakcji

Od autora:

Emocje i wyciąganie pochopnych i zbyt daleko idących wniosków w sprawach takich jak ta, nie są najlepszymi doradcami.

Być może podkomendni „Burego" nie zasługują, by określać ich mianem „żołnierzy". Nie będę się upierał ani kruszył kopii nie tylko dlatego, że nie mam powodów. Postąpię tak, ponieważ nie uważam się za osobę kompetentną, aby autorytatywnie wypowiadać się na ten temat. Ale również dlatego, że nie to akurat jest najważniejsze w całej sprawie.

Najistotniejsze, moim zdaniem, i takie było przesłanie całego artykułu, jest zadośćuczynienie krzywdzie i wyrażenie szacunku, jaki jesteśmy winni ofiarom barbarzyństwa i ich rodzinom. Ten właśnie cel powinien zostać osiągnięty w obliczu prawa, w biały dzień i przy udziale odpowiedzialnych za to urzędów.

J. Kalina

Białystok, 28.04.1997 r.

Szanowny Pan Ryszard Miazek
Prezes Zarządu TVP S.A.

Białorusini i wyznawcy prawosławia na Białostocczyźnie z dużymi nadziejami oczekiwali na powstanie oddziału telewizji publicznej w Białymstoku. Dzięki współpracy naszego Związku oraz Zarządu TVP S.A. ponad dwa lata temu doszło do powstania pierwszych w dziejach Telewizji Polskiej audycji białoruskojęzycznych. 21 lutego 1996 r. Zarząd TVP S.A. otrzymał listy z podpisami dziesięciu tysięcy mieszkańców naszego regionu, którzy popierali postulat naszego Związku, zmierzający do zwiększenia czasu emisji audycji białoruskojęzycznych i o tematyce prawosławnej na regionalnej antenie białostockiej. Tak się jednak nie stało.

Dyrekcja OTV Białystok odrzuciła projekt Związku Białoruskiego (popierany wcześniej przez byłego przewodniczącego Zarządu TVP Wiesława Walendziaka, wiceprezesa Janusza Daszczyńskiego oraz przewodniczącego KRRiTV Bolesława Sulika) postulujący powołanie redakcji białoruskiej i przydział adekwatnego do potrzeb i oczekiwań Białorusinów, obywateli polskich, okienek czasowych. **Dyrekcja Telewizji Białystok wybrała wariant marginalizacji problemu poprzez wepchnięcie audycji dla Białorusinów w ich ojczystym języku do jednego bloku z tematyką Polonii na Wschodzie (negatywną opinię na ten temat wyrazili członkowie sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych) i innymi mniejszościami narodowymi w naszym regionie.** Informuję przy tym, iż w zasięgu Telewizji Białystok zamieszkuje, wg danych Ministerstwa Kultury i Sztuki RP, ok. 250 tys. Białorusinów i jest to zdecydowanie najliczniejsza grupa narodowa niepolska w tym regionie naszego kraju.

Jeszcze gorzej sytuacja przedstawia się w dziedzinie prezentacji problematyki prawosławnej. Mimo iż „Ustawa z dnia 4 lipca 1991 r. o stosunku Państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego" stwierdza jednoznacznie, iż: „Kościół prawosławny ma prawo emitowania w państwowych środkach masowego przekazu nabożeństw w niedziele i święta prawosławne oraz swoich programów religijno-moralnych i kulturalnych", to dotychczas w ramówce TV Białystok nie znalazł się program poświęcony tej tematyce. Co gorsze jednak, za wyjątkiem codziennego programu informacyjnego „Obiektyw", problematyka białoruska i prawosławna jest ignorowana. Szczególnie dotyczy to Magazynu Kulturalnego, którego autorzy za wizytówkę regionu uznają muzykę disco-polo, ignorując np. obecność na mapie kulturalnej regionu takich zjawisk kulturalnych jak Międzynarodowy Festiwal Muzyki Cerkiewnej (zaliczany przez MKiSz RP do imprez muzycznych klasy „0"). Podobnie rzecz się ma z dorobkiem całej rzeszy twórców kultury wywodzących się ze środowisk prawosławnych i białoruskich.

Dopełnieniem czary goryczy był **incydent z 27 kwietnia br.** W niedzielny świąteczny ranek (był to pierwszy dzień prawosławnych świąt Wielkiej Nocy, obchodzonych na Białostocczyźnie przez niemal połowę mieszkańców) Warszawski Ośrodek Telewizyjny emitował świąteczny program, zrealizowany w Policealnym Studium Ikonograficznym w Bielsku Podlaskim (jedynej tego typu szkole w Polsce!) **Telewizja Białystok, która korzysta z tego samego pasma „rozłącznej dwójki" co WOT, mało że nie przygotowała żadnego programu świątecznego dla swoich widzów, wyznawców prawosławia, to właśnie tej niedzieli, w tym samym czasie, po raz pierwszy wyemitowała... program ekologiczny, uniemożliwiając w ten sposób obejrzenie programu przygotowanego specjalnie na święta prawosławne.**

Z przykrością dzielę się z Panem opinią naszego Związku, że TV Białystok systematycznie ignoruje obecność problematyki białoruskiej, a obecnie również prawosławnej. Dziwi to tym bardziej, że obecność naszej mniejszości w tym regionie była jednym z czynników, które zadecydowały o lokalizacji ostatniego ośrodka terenowego TVP w Białymstoku.

■ KONKURS

PYTANIE Nr 7

Kiedy i gdzie odbył się I Zjazd Białoruskich Studentów?

PYTANIE Nr 8

Które z białoruskich plemion założyło Grodno?

Zasady konkursu

Odpowiedzi na podane pytania należy przysłać na adres redakcji z załączonymi kuponami. Co miesiąc do wygrania kasety magnetofonowe zespołów białoruskich, książki i koszulki reklamowe. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe odpowiedzi na wszystkie dwanaście pytań i dołączą komplet sześciu kuponów, wylosujemy nagrodę główną – **rower górski**!

KUPON
Nr 4

NAGRODA MIESIĄCA

Termin nadsyłania:
1997.06.15

KUPON
Nr IV

NAGRODA GŁÓWNA

Termin nadsyłania:
1997.09.30

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan ostrość sformułowań, nie licujących z atmosferą świąt Wielkiej Nocy, obchodzonych przez wyznawców prawosławia w tych dniach (co zresztą zostało należycie dostrzeżone i zaprezentowane przez anteny centralne, i za co dziękuję) oraz to, że treść tego listu podaję do wiadomości publicznej. W sytuacji, gdy wszelkie racjonalne argumenty zawodzą, a dyrekcja TV Białystok nie odpowiada na nasze pisma, jestem do tego zmuszony.

Z poważaniem

Eugeniusz Wappa
przewodniczący
Związku Białoruskiego w RP

Do wiadomości:
1. Jego Ekscelencja Arcybiskup Sawa
2. Przewodniczący Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Jacek Kuroń
3. Przewodniczący Sejmowej Komisji Kultury Juliusz Braun
4. Przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Bolesław Sulik
5. Pełnomocnik Premiera Rządu RP, minister Michał Jagiełło
6. Wiceprezes Zarządu TVP S.A. Janusz Daszczyński
7. Poseł Unii Pracy Artur Smółko
8. Prasa i radio.

■ КРЫЖАВАНКА

У дыяграму ўпісваем адгаданыя беларускія словы. Літары з пазначаных клетак утвораць адгадку крыжаванкі. Сярод чытачоў, якія да канца сакавіка прышлюць правільныя адказы, разыграем кнігі і касеты.

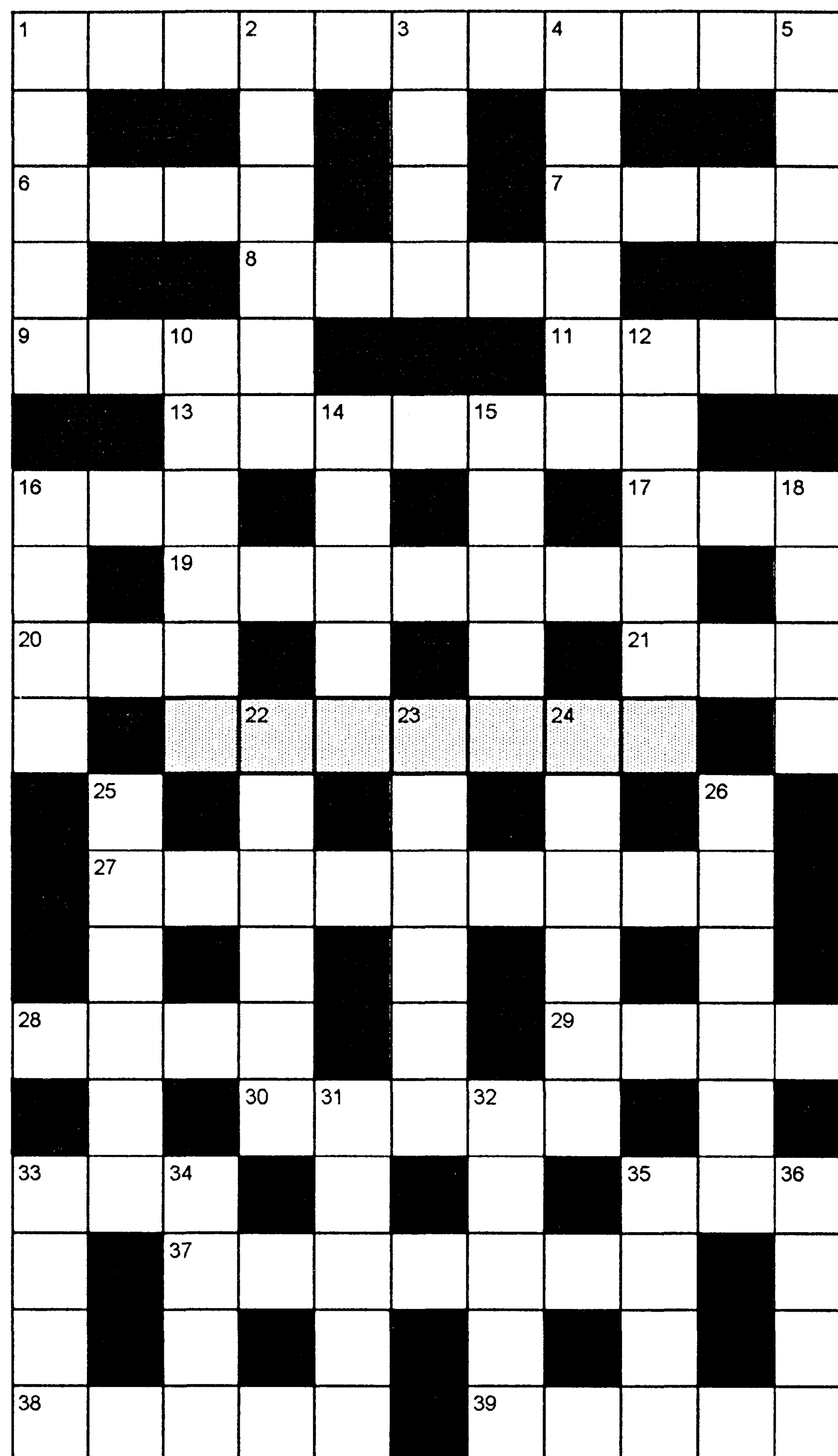
Poziomo:

1) np. „Czasopis”, 6) samosąd, 7) zdanie, 8) akapit, 9) bankructwo, 11) świerk, 13) majętność, 16) futro jak wór, 17) kurz, 19) uroczystość ślubna, 20) spożywanie pokarmu, 21) liczba, 27) cmentarz, 28) zielonkawy minerał, 29) na pastwisku, 30) drugi pokos, 33) Anglicy mierzą nim długość, 35) piec, 37) łowienie ryb, 38) kumpel, 39) napisana treść.

Pionowo:

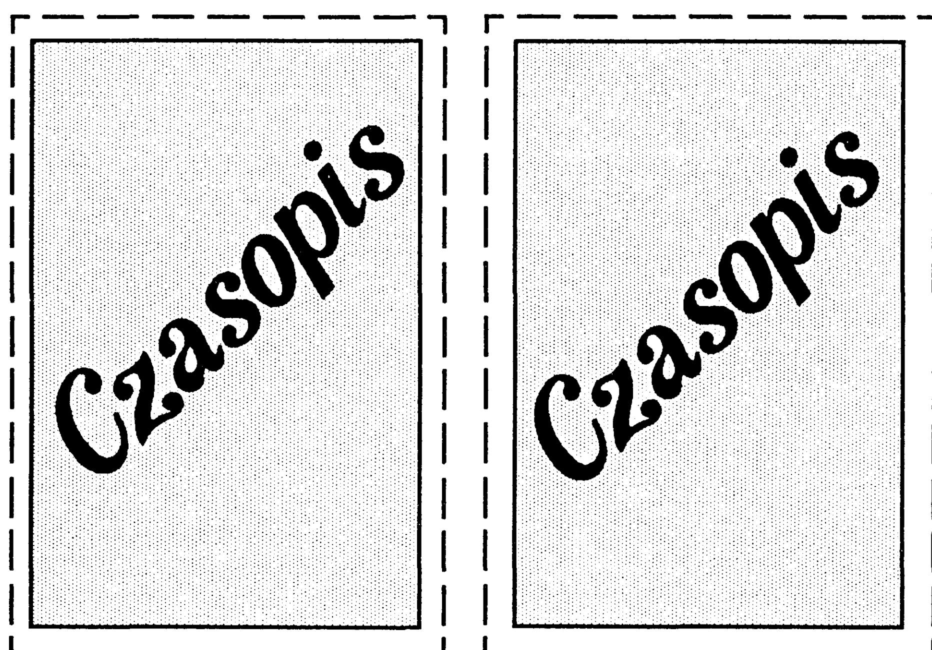
1) jastrząb, 2) macocha, 3) związek, 4) między piekłem a rajem, 5) baśń, 10) objęcie, 12) miasto za Orszą, 14) ciasto weselne, 15) coś bez uszczerbku, 16) latarnia morska, 18) na dnie Zalewu Siemianówka, 22) zawody na wodzie, 23) ołów, 24) niania, 25) wojownik, 26) charakterystyczne dla języka białoruskiego, 31) obóz wędrowny, 32) mocarz, 33) jednostka czasu w geologii, 34) ułamek, 35) jednorazowy prowiant, 36) rodem z piekła.

(ядань)



Правільная адгаданка крыжаванкі з папярэдняга нумару: „Вялікдзень”. Касету „Ліцьвіноў” атрымоўвае Сп-ня **Анна Сябясевіч** з Бельска Падляшскага, а кніжку М. Гайдука „Белавежскія быліцы і небыліцы” — Сп. **Мікалай Сазановіч** з Навінаў Вялікіх.

Узнагароды чакаюць у рэдакцыі.



Podajemy prawidłowe odpowiedzi na pytania konkursowe, zamieszczone w marcowym numerze „Czasopisu”:

1. Pierwszą audycję w języku białoruskim w Rozgłośni Polskiego Radia w Białymstoku wyemitowano w czerwcu 1958 r..

2. Za panowania kniazia Braczysława do Księstwa Połockiego włączono ziemie pomiędzy rzekami Dźwiną i Dzisną oraz ziemie krzywickie między Orszą i Mińskiem..

Nagrody wylosowali: **Izabela Łęczycka** z Bielska Podlaskiego (koszulka „Czasopisu” i kaseta zespołu „Biełу Son”), **Ewa Anna Demianiuk** z Bielska Podlaskiego (koszulka „Czasopisu” i kaseta zespołu „Lićwiny”) oraz **Leon Fiedoruk z Rybol** (koszulka „Czasopisu” i książka „Biełaruskija bylicy i niebylicy).

Gratulujemy! Nagrody prześlemy pocztą.

Фэстываль Музыкі Маладой Беларусі
Гарадок, Беласточчына

Festiwal Muzyki Młodej Białorusi
Gródek, Białostocczyzna

18-19.07.1997

басовішча

Беларускае Аб'яднаньне Студэнтаў **Białoruskie Zrzeszenie Studentów**

Polska, Gródecki Ośrodek Kultury, 16-040 Gródek, ul. A. i G. Chodkiewiczów 4, tel. 18-01-36

Uwaga!
Uwaga!

Trwają eliminacje do konkursu tegorocznej edycji festiwalu. Każdy może zagrać, wystąpić na scenie obok najlepszych. I wygrać! Jeśli uważacie, że Wasz zespół powinien zabrzmieć na tej czadowej imprezie, zgłoście się do nas.

Do 20 czerwca należy na podany wyżej adres biura festiwalowego przesłać kasetę, na której znajdzie się co najmniej pięć Waszych utworów (może być nagranie amatorskie), z czego przynajmniej trzy śpiewane po białorusku. Do kasety należy dołączyć wyraźnie napisane słowa wszystkich utworów, pełny skład zespołu oraz aktualny w czerwcu i lipcu br. kontakt (adres, telefon). O wynikach eliminacji powiadomimy Was listownie pod koniec czerwca.

No to gramy! Czekają nagrody, sława i odjazdowa zabawa!

■ HUMOR ZE WSCHODU

Milicjant zatrzymuje kierowcę.
— Dlaczego przekroczył pan prędkość?
— Chciałem dojechać do domu, zanim zacznie działać alkohol.

Na budowie.
— Dlaczego nie pracujesz? — pyta szef robotnika.
— Kiedy nie mogę, ręce mi się trzęsą po wczorajszym.
— No to chwytaj sito i przesiewaj żwir.

Żona do męża:
— Kochanie, dziś rano zabrakło mi pieniędzy na zakupy. Zaszłam więc do twego biura, a że gdzieś akurat wyszedłeś, sama wzięłam z twojej marynarki na wieszaku sto tysięcy rubli, bo drobnych nie miałeś...
— Nie ma sprawy. Chociaż musisz wiedzieć, że od tygodnia już tam nie pracuję.

Na poczcie.
— Kierowniczko, dlaczego te znaczki z naszym prezydentem tak słabo się przyklejają?
— Bo pluje pan nie na tę stronę, co trzeba.

Na budowie.
— Chłopaki — mówi majster do robotników — jutro będzie u nas kontrola. — Gdyby coś się działo nie tak, udawajcie, że wszystko w porządku.
Nazajutrz kontrolerzy oglądają plac budowy. Nagle wali się ściana wznoszonego budynku. Młody robotnik, jak gdyby nigdy nic, spogląda na zegarek i mówi:
— No tak. Jest 10.35. Wyburzenie nastąpiło dokładnie według planu.

Klient zamówił uszycie spodni. Na pierwszą przymiarkę krawiec kazał mu się zgłosić za miesiąc. Następna też była za miesiąc, a spodnie zostały uszyte dopiero po pół roku.
— I pomyśleć — żali się klient, płacąc pieniądze — Pan Bóg w ciągu siedmiu dni stworzył cały świat, a pan jedne spodnie szył pół roku!
— Panie szanowny — na to krawiec — spójrz pan na spodnie. — Przecież to cacko, a na ten świat to patrzeć się nie chce.

Wdowa poprosiła sąsiada, aby ściągnął skórkę i sprawił jej królika. Po skończonej robocie kobieta chciała się odwdzięczyć. Szybko upiekła królika i postawiła go na stole razem z butelką samogonu. Sąsiad wziął i to wszystko zjadł i wypił.
— Tylko nie myśl mi jeszcze płacić — rzekł na odchodne — chyba, że tylko skórkę wezmę sobie za fatygę.

Mieszkańcy pewnej wsi w kołchozie położonym wokół jeziora na wyspie, kilometr od brzegu, urządzili bimbrownię. Samogon pędzili po kolei — co noc ktoś inny. Ale na wyspę dostawali się łódką po dwóch. Rozpalali ogień, przygotowywali zacier, a gdy pojawiały się pierwsze krople bimbru, jeden wracał do domu, a drugi zostawał na noc, aby pilnować produkcji. Zabierał go sąsiad następnego dnia. Trwało to ponad rok. Kołchoźnicy tak zadomowili się na wyspie, że pobudowali sobie szałas na wzór Domu Pioniera ze stolicy rejonu. Cały proceder utrzymywali w tajemnicy, nie mówiąc o tym nawet żonom. Miejscowy milicjant w końcu ich jednak wyśledził. Któregoś wieczoru trafił po śladach na topniejącym już śniegu. W szuwarach stała pusta łódka. Milicjant, nie namyślając się, wsiadł do niej i popłynął na wyspę. Ten, na którego akurat wypadła „noc", usłyszał nagle plusk wioseł. Natychmiast skrył się w krzakach, a gdy milicjant wszedł do szałasu, wsiadł do łódki i odpłynął.
Milicjanta zabrano z wyspy dopiero po trzech dniach. Był w sztok pijany.

ХРОНІКА

МЯСЦОВАСЦІ



Мал. У. Петрука

АРХІТЭКТУРА І ДРЭВЫ

Матэрыялам, з якога ў мінулым будавалася большасць дамоў на Падляшшы была, вядома, драўніна. Была яна сыравінай таннай, але і лёгкай для апрацоўкі. Дрэва, якое некалі жыло ў лесе, працягвала жыццё ў руках цесляра, столяра ды далей дыхала, разам з подыхам людзей, што жылі ў драўляных хатах.

Быццам бы з удзячнасці дрэвам за іхнюю надзейную ахову чалавеку, нашы продкі заўжды беражліва ставіліся да жывых дрэў у сваіх мясцовасцях.

Паглядзіце на старую падляшскую вёску збоку. Глядзіцца яна быццам стары парк, дзе паміж дрэвамі стаяць драўляныя клуні з саламянымі стрэхамі, апушчанымі на чатыры бакі. А вясковая вуліца явіцца алеяй, у ліпах гудзяць летнія пчолы.

Падобна як і ў вёсцы, ліпы былі дрэвамі выключнымі таксама ў даўніх дварах. У апісанні двара ў Орлі з XVII ст. бачым, што пасярод дворскага пляцу стаяць старыя ліпы. Пра іншыя дрэвы, хоць напэўна там раслі, не згадваецца.

У некаторых мясцовасцях характэрным дрэвам была беластвола бяроза. Любаваліся тамашнія жыхары абсаджваць ёю свае панадворкі. Такія дрэвы асабліва падыходзілі да краявіду, калі за клунямі пачынаўся бярозавы гай.

Затое ў гарадах дрэў было нашмат менш, чым цяпер (гаворыцца, вядома, пра старэйшыя часткі горада, а не пра „блёкавішчы"). Тут забудова была густая, а зрэдку трапляючыяся дрэвы часта-густа, без аніякага кантролю, зрэзваліся на распалку ў печах. У І палове XIX ст. Язэп Ярашэвіч папракаў улады Бельска за тое, што ў горадзе ўвогуле няма паркаў і мала дрэў.

Сучасны чалавек стараецца элімінаваць са свайго наваколля дрэвы, якія не прыносяць пладоў. Вялікія, мураваныя дамы павінны быць адкрытымі, вокны не могуць быць зацененымі вялікімі бярозамі ці клёнамі. Хопіць нізкаcontainерослая туя ці срэбная елка з надрэзанай верхавінай ды некалькі нізенькіх яблынек. Старыя дрэвы зрэзваюцца, бо бяроза ды ясень — „добры матэрыял" на панельную „боазэрыю"; бо можа зваліцца на дах дому; бо восенню засмечвае панадворак сваім лісцем...

У наступнае стагоддзе нашы мясцовасці ўвойдуць, пэўна, агалелымі. І дрэвы, адчуваючы гэта, сохнуць самі як тыя вязы па ўсёй Еўропе. І стане Замкавая гара ў Бельску зноў Лысаю гарою.

Мікола Сахарэвіч